



DATA WYDANIA 14.06.2010 R.

WSTĘPNIAK

To ostatni numer gazetki. Wszyscy żyjemy zbliżającymi się wakacjami, nadzieją na odpoczynek, przygodę, coś wymykającego się sztympie i regularności, którą narzucają nam codzienne obowiązki. Dwa miesiące (względnej) wolności a potem – wiadomo. Ale o tym na razie nie myśl(i)my. Teraz jest czas najfajniejszy – czas oczekiwania na (...). W numerze szóstym, przedwakacyjnym, jak zawsze znajdziecie przekrój tego, co wydarzyło się w szkole, wywiady, felietony, recenzje, twórczość własną. Jednocześnie przypominamy, że chętnie widzielibyśmy Was w gronie osób redagujących gazetkę, więc – zapraszamy.

(Oby) miłego czytania!

Redakcja

W tym numerze

Wstępniak 1

Z życia szkoły

Wszystko nowe	3-4
Wymiana polska-niemiecka	4-6
Miłość w literaturze i sztuce	6-10
Moskwa moimi oczami... - konkurs	10-11
Konkurs Krasomówczy	12-15
Złot Szkół Sienkiewiczowskich	15-18
Kochaj i rozszerzaj	18-19
Wywiady z nauczycielami	20-27

Felietony

Ministrant – obalając stereotyp(y)	27-29
Rozmowa z Maciejem Stawickim	29-30
O głupocie	30-31
Z życia wzięte	31-32

Recenzje/sylwetki

Ała Pugaczowa	33
Królewskie atrybuty	34-35
Pachnidło	36-37
Czarny Balonik	37-38
Co nas kręci, co nas podnieca	39-40
Dulscy z.o.o	41-42

Sport

Architekt Maciek	42-43
Liga Mistrzów	43-45

Twórczość własna

Lato	46
Babka łuska włoskie przed domem	46
O kropli krwi	47

Wszystko - nowe (!?)

Nowa szkoła, nowi znajomi, nowe życie. Życie poważniejsze, choć jeszcze balansujące na granicy dzieciństwa i dorosłości. Każdego z nas dopada ten czas, kiedy musi dokonać ważnych życiowych wyborów dotyczących przyszłości. Po ukończeniu gimnazjum nie wszyscy są dokładnie ukierunkowani. To właśnie liceum ma nam pomóc w odnalezieniu tej właściwej drogi, odkryć nasze talenty i zainteresowania, wskazać ten właściwy życiowy kierunek. Trzy lata, który spędzamy w ogólniaku, są również bardzo ważne nie tylko pod względem nauki. W tym czasie poznajemy mnóstwo nowych ludzi, kształtujemy swój charakter, często nawet dopiero odkrywamy, jacy tak naprawdę jesteśmy. To czas, w którym stykamy się z pierwszymi zawodami miłosnymi lub spotykamy dopiero tę pierwszą ukochaną osobę. Czas wychodzenia z buntowniczego okresu i patrzenia na swoje życie z nieco innej perspektywy. Czas dojrzewania już może nie tyle fizycznego, co psychicznego. Czas powolnego wkraczania w dorosłość.

Kiedy przyszliśmy tu na początku roku szkolnego, nikt nie był w stanie przewidzieć, co go spotka za murami naszej szkoły. Jak zaaklimatyzowali się pierwszorocznicy i czy są różnice pomiędzy absolwentami tego gimnazjum a ich rówie-

śnikami z innych szkół? Przeprowadziłam kilka spontanicznych rozmów z moimi koleżankami i kolegami. Ciekawiło mnie, czy zauważalne są różnice pomiędzy uczniami kontynuującymi naukę „na Płockie” już czwarty rok, a tymi, którzy dopiero ją rozpoczęli, a także między młodzieżą dojeżdżającą, która bez wątpienia stanowi duży procent uczniów, a tą mieszkającą w Płońsku na stałe oraz mieszkańcami internatu i resztą.

Po pierwsze, nie ulega wątpliwości, że młodzież, która chodziła tu do gimnazjum, jest ze sobą bardziej zżyta niż z nowymi osobami. Spędzili oni ze sobą poprzednie trzy lata i znają się dużo lepiej. W klasie oczywiście też widoczne są różnice w sposobie zachowania. Osoby uczące się tu czwarty rok są pewniejsze siebie, widać to w sposobie rozmawiania z nauczycielami a także ze swoimi nowymi kolegami. Na początku roku były cennym źródłem informacji o różnych miejscowych ploteczkach, zwyczajach nauczycieli. Czasami może nawet za dużo mówiły, sięjąc niepokój wśród nowych, ale głównie udzielały cennych wskazówek pomagających uniknąć nam gaf w pierwszym zetknięciu z nowymi nauczycielami.

Po drugie, dochodzę do wniosku, że konieczność dojeżdżania sporej grupy młodzieży

nie stanowi żadnego problemu w nawiązaniu bliższych znajomości z płońszczanami. Nie są to kolosalnie duże odległości, więc przy współczesnym rozwoju komunikacji oraz środkach masowego przekazu utrzymywanie kontaktu poza lekcjami jest jak najbardziej możliwe. Jak mówi słynne powiedzenie: „Dla chcącego nic trudnego”, dlatego zdecydowanie mogę powiedzieć, że taki podział w zupełności nie wpływa na relacje między nami.

Po trzecie, myślę, że każdy zgodzi się z moim spostrzeżeniem, iż społeczność internacka jest najbardziej zżyta ze sobą grupą. Mieszkają oni ze sobą pięć dni w tygodniu, jedzą razem śniadania, obiady i kolacje, spotykają się przy porannej i wieczornej toalecie, spędzają razem czas wolny itd. Dzięki temu poznali swoje dobre i złe strony nieco lepiej niż np. koleldzy z klasy. Oczywiście w tym małym światku są osobne grupy trzymające się bliżej ze sobą, bo chyba nikt nie zaprzeczy, że niemożliwością jest odbieranie na jednych falach siedemdziesięciu przypadkowych osób. Jednak, powołując się jedynie na własne obserwacje, mogę stwierdzić, że na korytarzach szkolnych nie rzucają się w oczy jako osobna grupa. Każdy mieszkaniec internatu ma mnóstwo innych znajomych.

Z życia szkoły

Reasumując powiem, że zaobserwowałam drobne zmiany w opisanych przeze mnie relacjach. Pierwsza klasa dobiega końca. Pierwszorocznicy już nie są tacy „zieloni” jak na początku roku szkolnego, więc te różnice pomiędzy byłymi gimnazjalistami a „nowymi” powolutku się niwelują. Poznaliśmy siebie nawzajem przez ten rok, zawiązały się nowe znajomości a nawet przyjaźnie i to między osobami z różnych grup takich

jak np. dojeżdżający a miejscowi czy stali bywalcy a nowi. Dlatego śmiało mogę stwierdzić, że taki podział nie ma żadnego wpływu na nasze kontakty. Szybko zaaklimatyzowaliśmy się w nowej szkole a nasi nowi koledzy, kontynuujący tu naukę, serdecznie przyjęli nas w swoje skromne progi. Już niedługo druga klasa, więc na naszych barkach będzie spoczywało tworzenie ciepłego klimatu w szkole – tak aby pierwszo-

roczni czuli się bezpiecznie i miło. Jestem pewna, że wywiążemy się z tego odpowiedzialnego zadania.

- Eliza Kleniewska

Rewizyta Niemców w Płońsku

Jak powszechnie wiadomo, w dniach 16.05 – 22.05 miała miejsce rewizyta naszych gości z Niemiec, z Hechingen. Nastroje dopisywały, każdy nie mógł się doczekać powtórnego spotkania. W deszczowe popołudnie czekaliśmy wszyscy razem, aż nadjedzie płoński bus, który uprzednio wyjechał po Niemców do Warszawy. W końcu przyjechali. Mogliśmy wreszcie ich ugościć, tak jak uczynili to i oni. Dni mijały szybko i obfitowały w wiele, jak na polskie warunki, atrakcji. Nasi niemieccy koledzy mieli wcześniej – na 3 dni przed przyjazdem do Płońska – możliwość zwiedzenia m.in. Krakowa, kopalni w Wieliczce i muzeum w Auschwitz.

Wszyscy staraliśmy się ugościć naszych niemieckich znajomych jak najlepiej. Spędzaliśmy czas bardzo ciekawie i można było

odnieść wrażenie, że naszym zachodnim sąsiadom Polska zaczyna coraz bardziej się podobać. Skłoniło nas to do przeprowadzenia z nimi rozmowy na temat Polski i pobytu w niej.

Z Sarah Rebstock rozmawia Anna Pałac

Co możesz powiedzieć o tegorocznej wymianie?

Po pierwsze ciekawą przygodą jest odwiedzenie sąsiedniego kraju i usłyszenie nowego języka. Poznanie nowych ludzi sprawia wiele radości, ale interesujące jest także zwiedzanie wielu zabytków, obejrzenie skarbów Polski. Zaletę stanowi też zdystansowanie się do problemów czekających w domu, oderwanie się od codzienności.

Warto brać udział w wymianach, ponieważ pozwalają poprawić zdolności językowe i wiedzę na temat różnorodnych kultur. Poza tym ludzie w Polsce są niezwykle gościnni i życzliwi, znalazłam tu kilku przyjaciół.

Najważniejsze doświadczenie?

Do końca życia będę wspominać wizytę w obozie koncentracyjnym w Auschwitz. Usłyszałam tu wiele strasznych informacji na temat wojennych czasów.

Jakieś minusy?

Trochę doskwiera tęsknota za rodziną i przyjaciółmi. Ze względu na barierę językową nie możemy w pełni się porozumieć, zapoznać z rodzinami. Byłoby lepiej, gdybyśmy uczyli

się w szkole polskiego.
Dziękuję za rozmowę.

Z Amelie Konstanzer
rozmawia Adam Ma-
gnuszewski

**Amelie, czemu akurat Polska?
Co skłoniło Cię do wyboru
właśnie naszego kraju?**

(śmiech) Od zawsze ciekawiła mnie Europa Wschodnia. Dla nas, Niemców, jest czymś zupełnie innym. Tutaj nie wszystko jest uporządkowane, występuje element pewnego nieładu, dynamiki, zaskoczenia – u nas się to nie zdarza, a szkoda, bo dzięki temu życie jest ciekawsze. Przebywanie w ciągłym schemacie może mieć swoje zalety, ale zdecydowanie zabija różne przejawy, tak jak wspominałam, dynamiki czy chociażby małego ryzyka.

**Amelie, wiem, że dopóki moja
szkoła nie odwiedziła Hechingen,
mogłaś słyszeć różne opinie
na temat mojego państwa.
Ciekawi mnie po prostu, z
kim lub czym cudzoziemiec –
szczególnie ten z Europy Za-
chodniej – utożsamia Polskę?**

Zanim przyjechaliście, trochę się obawialiśmy. Wiadomo, stereotypy mogą dziać wiele – zmieniają pogląd na wszystko. Do momentu naszego pierwszego spotkania, z Polską nie miałam zbyt wielu skojarzeń... Na pewno papież Jan Paweł II, Lech Wałęsa, kilku polityków, sportowców. Nie było to jakieś specjalnie szerokie

grono osób. Jednak, od kiedy po raz pierwszy się spotkaliśmy, wiele się zmieniło. Zobaczyłam, że na stereotypach w żadnym stopniu nie można polegać, że Polacy wcale nie muszą być złodziejami i pijakami. To są normalni, koleżeńscy ludzie, tak jak każdy inny naród.

**Amelie, pochodzisz z jednego
z najbogatszych i najpiękniejszych
landów w Niemczech.
Teraz jesteś w Polsce, możesz
skontrastować swoje wyobra-
żenie o tym państwie z jego
rzeczywistym wyglądem, a
dodatkowo porównać Badenię
z Mazowszem. Jak wypadamy
na tym tle?**

Dla mnie tereny, na jakich znajduje się Polska są świetne. Morze, góry, jeziora – w Niemczech niby też tak jest, ale tam jest to zupełnie inaczej. Tutaj, na Mazowszu, jest coś, co mnie po prostu urzekło – niziny. W Badenii mamy naprawdę dość wszelkich pagórków, wznieścień, podjazdów. Nie jest przyjemne wiecznie jeździć z góry na dół i z powrotem. Tutaj jest jak w Australii, prosta droga, żadnych gór... coś cudownego. Poza tym Polska jest bardzo malowniczym krajem. Może nie jest najbogatszym państwem, bo to widać od razu, ale zaobserwować też można niesamowite zmiany. W ciągu całego mojego pobytu tutaj mnóstwo rzeczy było budowanych lub remontowanych.

**Fakt, od momentu wstąpienia
do UE w Polsce zachodzą ko-
losalne zmiany i to przede
wszystkim zmiany na lepsze.**

**Natomiast mogłabyś mi po-
wiedzieć, czy jest coś, co od-
różnia na ulicy przeciętnego
Polaka od przeciętnego Niem-
ca, Francuza czy Włocha? Cho-
dzi mi tutaj o wygląd ze-
wnętrzny, jakieś charaktery-
styczne cechy.**

Pytasz przeciętnego... Na pierwszy rzut oka nie widać wielkich różnic. U was jest do-kładnie taka sama moda jak u nas. Poza różnicami wyłącznie fizycznymi, sama nie wiem. Moją uwagę zwróciło jednak, jak wielu Polaków ubiera się na sportowo, jakby ciągle wracali z treningu (patrz dres). Trochę to dziwne, bo młodzi ludzie ubierają się lub przynajmniej starają ubierać się modnie. Chyba że to jest jakaś subkultura, która jeszcze nie występuje w Niemczech. Polacy mogą po prostu przywiązywać dużą wagę do kultury fizycznej.

**Hm, nie da się ukryć, że na
polskich ulicach można spo-
tkać wielu „sportowców”. Po-
za nizinnym krajobrazem
urzekło Was tutaj coś jeszcze –
ceny. Jak wiadomo, Polska nie
przystąpiła jeszcze do strefy
euro, złotówka nie radzi sobie
specjalnie dobrze, więc mo-
głycie tutaj trochę poszaleć.**

Tak, Polska pod tym względem to dla nas „Paradeis”. Praktycznie wszystko jest tu cztery razy tańsze. Mogliśmy pozwolić sobie naprawdę na wiele. Razem z koleżankami śmiałam się, że na większe zakupy będziemy się od teraz wyprawiały za granicę.

Z życia szkoły

Amelie, przepraszam, że pytam Cię tak przekrojowo, ale chcę poznać Twoją opinię dotyczącą różnych dziedzin życia. Co sądzisz o polskiej szkole? Jedynie na podstawie krótkich obserwacji, relacji zachodzących między ludźmi.

Z tego, co dowiedziałam się od osób z wymiany, liczbę godzin mamy podobną, przedmioty także, ale jest coś, co mnie po prostu zachwyca – bezstresowe nauczanie. Byłam z Tobą na języku polskim i jestem po prostu oczarowana tym, jak swobodnie i przyjemnie, a zarazem konkretnie można prowadzić lekcje. W Niemczech wygląda to... niestety trochę inaczej. Nauka bezstresowa przebiega łatwiej i w taki sposób wiedza jest szybciej i efektywniej przyswajana. A odnośnie relacji? Ludzie byli dla nas bardzo ser-

deczni, przychodzili, witali się. Może byli nieco nieśmiali, ale to całkiem naturalne. Wiem, że relacje między naszymi narodami nie zawsze były dobre, dlatego wstępna opinia o nas może nie być zbyt pochlebna, ale trzeba to zmienić. Poza tym dostrzegam tu dość duży kontrast. Mogę powiedzieć, że na korytarzu widzę albo osoby roześmiane od ucha do ucha, albo takie, jakby były ciężko chore i coś je bolało.

Nie chciałbym Ciebie specjalnie uświadamiać, ale uwierz mi, nie każde lekcje są takie. Oj, zdecydowanie nie. A co do relacji, wydaje mi się, że wszędzie są ludzie szczęśliwi i nieszczęśliwi, to nie ulega wątpliwości. Natomiast jeśli ma się na myśli relacje między Niemcami a Polską, na szczęście są coraz lepsze. Ła-

miemy stereotypy, chcemy się zaprzyjaźnić. I to jest fajne.

***Amelie, a co sądzisz o naszej wymianie teraz, jak już opadły wstępne emocje?**

Jejku, było naprawdę super. Gdybym miała możliwość, z chęcią bym tu przyjechała jeszcze raz. Wiem, że nie mogę udać się tu znów z wymianą, ale może jakoś uda nam się skrzyknąć i wybierzemy się ponownie jakąś grupką do Polski. Ta wymiana trwała zdecydowanie za krótko.

Dziękuję, że zechciałaś odpowiedzieć mi na tych kilka pytań i mam nadzieję, że uda nam się ponownie spotkać.

Ja również dziękuję.

- Anna Pałac

Miłość w literaturze i sztuce – recenzja spektaklu

25 maja mieliśmy przyjemność oglądać spektakl przygotowany tradycyjnie przez uczniów naszej szkoły. Cóż, wszyscy wiemy, że tematem przewodnim była miłość w literaturze i filmie, że starano się pokazać własne jej rozumienie, czy też wyobrażenie o niej itd. itp. Każdy widział – wie (przynajmniej powinien, bo przedstawienie wystawiane było tego dnia trzy razy.

Sam oglądałem je dwukrotnie). Szczerze mówiąc, zostałem pozytywnie zaskoczony. Jak na nasze warunki przedstawienie wypadło bardzo dobrze. Byłem pod wrażeniem tego, co stworzyli moi koledzy i koleżanki (zresztą zazwyczaj jestem, nie licząc pewnych wyjątków). Nie miałem nikomu ani niczemu nic do zarzucenia, krótko mówiąc – podobało mi się. Jednak jednej z

opiekunek merytorycznych moje zapewnienia co do tego, jak wspaniale wypadli jej podopieczni, nie wystarczyły ;-). Zostałem w sposób całkowicie dobrowolny zobligowany do zebrania obszerniejszych informacji na temat tego, jak przedstawienie zostało odebrane i napisania tego, co właśnie teraz piszę, a Wy czytacie. Porozmawiałem trochę z ludźmi i

Z życia szkoły

coś udało mi się z tego sklecić.

Pierwsze pytanie, które nasunęło mi się na myśl, dotyczyło tego, czy warto angażować się w tego typu projekty. W sumie o wiele łatwiej usiąść na d**** i nie robić nic, jednak nie do końca ma to sens. Po pierwsze – tracimy czas, po drugie – nie wykorzystujemy własnych możliwości. Dlatego lepiej wykrzesać z siebie choć trochę optymizmu, zmobilizować się i działać! Każdy, z kim rozmawiałem, uznał, że angażować się warto. Dzięki temu uczniowie mogą rozwijać swoje aktorskie talenty, poszerzać horyzonty oraz zaspokajać ambicje. Warto nie tylko dlatego, że uzmysłowili oni nam, oglądającym, występowanie różnych „odcieni” miłości, ale także dlatego, że w ten sposób mogli oni wyrazić na scenie siebie samych i własne uczucia, co jest ważne, o ile nie najważniejsze.

Zapytałem także o pierwsze odczucia po obejrzeniu spektaklu. Tym, że wszystkie odpowiedzi były podobne, zaskoczony nie byłem. Zdecydowana większość jako pierwsze wymieniła wzruszenie. W zasadzie sam nie odpowiedziałbym inaczej. Wiele osób mówiło także o chęci podziele-

nia się z kimś uczuciami oraz ogólnym zachwycie. Mówiono o odnalezieniu w poszczególnych scenkach samego siebie lub wizerunku swojego związku. Rodzice przypominali sobie młode lata i towarzyszące im uczucia – zachwyt drugą osobą, rozczarowanie, czasem rozpacz.

Następnie chciałem dowiedzieć się, co dało widzowi obejrzenie przedstawienia. Odpowiedzi – refleksja nad życiem i miłością, kontemplacja, zatrzymanie się na chwilę – myślę, że efekt jak najbardziej zamierzony. Ponadto nikt nie uznał, iż spektakl był nudny, chociaż trwał dość długo, bo ponad 1,5 godziny. Wręcz przeciwnie – niektórzy nie wiedzą, kiedy ten czas minął. Widownia, według niej samej, była zainteresowana tym, co się działo na scenie.

Jeśli chodzi o najlepszą scenkę, najczęściej typowaną był „Forrest Gump” (Anna Pałac, Mateusz Bajkowski), „Pulp Fiction” (Paulina Chyl, Damian Brudzyński) oraz „Smak życia” (Patrycja Boruta, Tomasz Antosiewicz). Wielkie wzruszenie wywołała także piosenka Edyty Górniak „List” w wykonaniu Alicji Olejniczak. Ogromną rolę w powodzeniu przedstawienia

odegrała właśnie muzyka, stąd szczególne uznanie za odpowiedzialnego za nią Michała Brożyny.

Nadszedł czas na negowanie, jednak nie ma go zbyt wiele. Zapytałem osób, które były tego dnia w auli, co by prawdy, gdyby mogły. Kilka osób wskazało na wokalistę, inne na problemy techniczne z mikrofonami. Myślę, że czas pomyśleć nad czymś bezprzewodowym. Niektórzy uznali, że czegoś, co jest idealne, nie należy poprawiać (osobie tej zależy na ocenie z języka polskiego ;)). Jedna z osób uznała, że niektórzy aktorzy aż nazbyt wczuwali się w swoje role. Może jest w tym trochę racji...

Ogólnie występ zaliczono do udanych. Uczniowie stwierdzili, iż był on najlepszym w tym roku szkolnym. Rodzice zaś uznali, że spektakl powinien zostać pokazany szerszej publiczności. Ponadto byli zadowoleni z tego, że mogli oglądać swoje dzieci przy okazji zebrania. Mają nadzieję na kolejne przedstawienie.

Zastanowiło mnie również, co skłoniło moich rówieśników do tak ciężkiej pracy. Dlaczego to zrobili? Co im to dało? Zapytałem o to jednego z nich, pełniącego rolę konferansjera Krzyśka

Z życia szkoły

Konstantinowa.

Wzięłeś udział w spektaklu, bo...

Po sukcesie poprzedniego spektaklu, bazującego na prozie Marka Hłaski, pomyślałem, że fajnie byłoby wziąć udział w takim przedsięwzięciu. Przystąpiłem do tego na zasadzie własnego wyboru, zresztą wszyscy, którzy występowali, tak zrobili. Nie było w tym żadnego przymusu. Myślę, że między innymi dlatego odnieśliśmy sukces. Tutaj nikt nic nie musiał. Jeśli chciałeś, to pojawiłeś się na pierwszym spotkaniu, jeśli nie, to nikt cię nie zmuszał do brania w nim udziału. Każdy wprowadzał coś nowego do przedstawienia, ogólnie panowała na próbach, a potem na samym występie, miła atmosfera.

Co czujesz w momencie, kiedy patrzysz na publikę

podczas przedstawienia?

Zadowolenie. Jeśli patrzę na publikę i widzę zainteresowanie tym, co mówię lub co zapowiadam, to naprawdę jestem zadowolony. Oznacza to po prostu sukces całego naszego spektaklu, oznacza, że to, co wystawiamy, naprawdę się podoba.

Czy wszystko poszło tak, jak sobie to zaplanowaliście? Chciałbyś coś poprawić?

Przy pierwszym spektaklu Krystian zapomniał nas przedstawić, jednak nie wpłynęło to jakoś na dalszy ciąg przedstawienia. Przy drugim wyjściu natomiast potknąłem się o kable, co niewątpliwie wprowadziło pewien chaos, ale oprócz tego jestem z siebie zadowolony.

Z czym mieliście największe trudności?

Mikrofony. Przekazywanie z

rąk do rąk dwóch mikrofonów jest naprawdę uporzeczliwe. Do tego nie były one jeszcze w 100% sprawne, więc to tylko pogarszało sprawę. Mam nadzieję, że nie było widać, iż mamy problemy ze sprzętem.

Poniżej krótkie wypowiedzi innych osób związanych ze spektaklem:

Michał Brożyna

(odpowiedzialny za aranżację muzyczną): Zdecydowałem się wziąć udział w spektaklu, ponieważ uznałem, że to naprawdę ciekawa idea. Przyjemność sprawiła mi możliwość swobodnej aranżacji utworów takich jak „Byłaś serca biciem” Zauchy, co stanowiło niezłe wyzwanie, ale jednocześnie pozwoliło mi odświeżyć i przybliżyć coś, co powoli ulega zapomnieniu. Cieszę



się, że mogliśmy pokazać, że szkoła to nie tylko nauka, ale też niezależne myślenie, umiejętność realizowania własnych pomysłów, otwieranie się na oryginalność. I próba sprawdzenia własnych możliwości. Chciałbym podziękować całej sekcji muzycznej za współpracę, za zaangażowanie, poświęcony czas. Szkoda, że to już za nami.

Zuzanna Paszkowska: Wielkim plusem jest to, że mamy możliwość uczestniczenia w takim wydarzeniu, co zresztą stanowi pozytywny przejaw, efekt działalności współczesnej młodzieży. Wbrew tendencji do narzekania na nas, okazuje się, że potrafimy być kreatywni i poświęcić czas na coś, czego sens uznajemy. Fajnym elementem, solidaryzującym nas, były też próby, na których wspólnie spędzaliśmy czas. To właśnie jest najistotniejsze – że robimy coś razem. Wybrałyśmy z Olgą „Lato miłości” – mimo iż wiedziałyśmy, że scena wzbudzi kontrowersje, to jednak zaryzykowałyśmy. Chciałyśmy pokazać coś innego, odejść od konwencjonalności, stereotypowego wizerunku miłości definowanego najczęściej wyłącznie jako związek kobiety i mężczyzny. Tutaj skupiłyśmy się na relacjach między

Tamsin i Lisą. Myślę, że udało nam się to, co stanowi istotę samego filmu – ukazanie prawdy o uczuciach.

Mateusz Bajkowski: Szczerze mówiąc do samego spektaklu podszedłem bardzo sceptycznie. Być może dlatego, że nigdy wcześniej nie robiliśmy niczego o podobnej tematyce. Nadszedł dzień spektaklu. Nie wiedziałem, jak wypadnę, nie wiedziałem, jak zostanę odebrany. Oczywiście, jak to zwykle bywa, zżerała mnie trema. Ze spektaklu i prób wyniosłem oczywiście jakieś doświadczenie aktorskie. Poza tym z pewnością dobrze będę wspominał wszystkie próby, które, oprócz uczucia ulgi i spełnienia po występie, są najlepszą częścią przedstawienia. Atmosfera, żarty, czasem trochę stresu i podporządkowania sobie ludzi, to wszystko jest naprawdę piękne. Bardzo podobała mi się większość scenek ze spektaklu. A dlaczego wybrałem akurat scenkę z „Forresta Gumpa”? Miałem niemały kłopot z wyborem. Film obejrzałem przypadkowo i właśnie ta miłość, być może trochę inna niż reszta, ale wytrwała i nieugięta, zwróciła moją uwagę. Uznałem, że to byłby dobry materiał na spektakl. Poza tym jestem bardzo wdzięczny

Ani, która – mimo początkowych obaw – zdecydowała się zagrać w nim ze mną.

Tyle z mojej strony. Na pytanie, czy Wam się spektakl podobał, musicie odpowiedzieć sobie sami. Ten tekst może Wam jedynie trochę pomóc. Dotarłem tylko do garstki osób, dlatego może on nie być do końca obiektywny, w każdym razie próbowałem. Co do pracy naszych kolegów, myślę, że należy ją docenić. Na uznanie zasługuje niezależność, ambicja oraz niebywała odwaga. Wielu z nas stresuje się w momencie, gdy obserwuje nas jedna osoba, wyobraźmy sobie zatem, że jest ich kilkaset.

Osoby biorące udział w spektaklu według kolejności scen:

1. **Szyfowe prace:** Łucja Białorucka i Jakub Nowak
2. **Granica:** Aleksandra Romanowska i Paweł Bałdyga
3. **Stowarzyszenie Wędrujących Dżinsów:** Aleksandra Romanowska i Magdalena Wiatr, w roli statystów: Michał Markiewicz i Łukasz Szostek
4. **Forrest Gump:** Anna Pałac i Mateusz Bajkowski
5. **Smak życia:** Patrycja Boruta i Tomasz Antosiewicz
6. **Pulp fiction:** Paulina Chyl i Damian Brudzyński
7. **Lato miłości:** Zuzanna Paszkowska i Olga Rykowska
8. **Pieśń nad pieśniami:** Katarzyna Krysiak

Z życia szkoły

9. **Pamiętnik:** Łucja Białorucka i Michał Kornatowski
Samotność w sieci: Kinga Faftek i Magda Michalczuk

Za muzykę odpowiedzialni byli: instrumentalści

(Michał Brożyna – plus aranżacja, Janusz Popłonkowski i Przemysław Sawicki oraz wokaliści (Alicja Olejniczak, Agata Piórkowska, Monika Pośpiech, Kinga Raczkowska, Łukasz Szostek).

- *Kasper Pawłowski*

Moskwa moimi oczami... - konkurs

Przygoda opisana przez Kamila poniżej udowadnia jedno - opłaca się poszerzać swoje zainteresowania, wykazywać aktywność, fascynować, dzielić pasjami. Warto - nie być biernym. Jego historia jest przykładem na to, że jeśli ktoś naprawdę chce coś osiągnąć - to jego praca nigdy nie pójdzie na marne. Bez względu na efekty, choć tym przypadkiem - efekty godne pozazdroszczenia.

„Witam, moim zadaniem będzie zapoznać Was z największymi i - naszym zdaniem - najciekawszymi obiektami sportowymi Moskwy...” - tak brzmi pierwsze zdanie filmiku, dzięki któremu wyjeżdżam na trzy tygodnie do jednego z najbardziej charakterystycznych miast na świecie, jakim jest właśnie Moskwa. Filmik ten wziął udział w konkursie pt. „Przewodnik po Moskwie”. Konkurs polegał na

przedstawieniu miasta w dowolnie wybranej przez siebie formie. Należało jedynie wybrać temat i skupić się na konkretnej dziedzinie. Mogły to być np. muzea, teatry, parki, Moskwa widziana oczami dzieci, Moskwa Puszkina, wieżowce Moskwy, czy - jak w naszym przypadku - obiekty sportowe miasta. Konkurs był organizowany po raz pierwszy w Polsce, a w ubiegłym roku miał on swoją edycję na Białorusi. Z naszej szkoły zostały wysłane jeszcze trzy projekty, dwa indywidualne oraz jeden, który był pracą grupową. Wszystkich prac, jeśli zostałem dobrze poinformowany, z całej Polski było około 280.

Sorka Biernacka, ogłaszając zasady konkursu, zarazem gorąco zachęcała do wzięcia w nim udziału, ponieważ współorganizatorem jest Wydawnictwo Szkolne PWN, więc w naj-

gorszym wypadku, kiedy dziwnym trafem i perfidną nieprzychylnością losu, nikt nie zająłby czołowej lokaty, to i tak „gra świeczki warta jest” - parafrazując słowa Sorki B. Generalnie, chodziło o to, że ewentualne nagrody pocieszenia (słowniki, leksykony, wartościowe książki, nie jakieś tam koszulki), będą niezmiernie drogie. Podczas nieco rozbudowanej wypowiedzi Sorki, zastanawiałem się, czy mógłbym wziąć udział w czymś tego typu. Pomyślałem - dlaczego nie? Mógłbym przecież coś osiągnąć, nie jak w olimpiadzie, gdzie zapewne jedyne, co bym wygrał, to dyplom uczestnictwa... Zdecydowałem się – a wraz ze mną dwie niewiasty, Ewelina i Justyna, które postanowiłem przygarnąć. Do dnia sądnego pozostało - 10 niedziel. Postanowiliśmy od razu wziąć się ostro do roboty. Zebrane



materiały zgromadziliśmy na półtora tygodnia przed wyznaczonym terminem. Do tego czasu wielokrotnie miałem dosyć tego projektu, ale nie poddałem się. Montaż filmu trwał około tygodnia (tutaj podziękowanie dla Oli Pęczyńskiej, która użyczyła mi wysokiej klasy sprzętu rejestrującego dźwięk, wielkie dzięki, jeszcze raz). W ciągu 6 dni i nocy naliczyłem około 10 godzin snu. Było naprawdę ciężko, podobno wyglądałem jak trup. Mam nadzieję że tylko wyglądałem, hmmm, nikt się nie skarżył... Mniejsza o to. Ale jak widać, opłacało się, choć tak naprawdę zrobiłem ten film

kierowany główną motywacją - byleby już tylko go skończyć...

Kiedy dowiedziałem się, że zajęliśmy 11. miejsce, miałem mieszane uczucia. Z jednej strony bardzo cieszyłem się, że zajęliśmy tak wysokie miejsce, a z drugiej - żałowałem, że zabrakło tylko jednego miejsca, by wyjechać do Moskwy.

Po chwili jednak Sorka dodała, że jedna osoba z tej dziesiątki zrezygnowała i drzwi na wschód zostały otwarte. Niestety mogła jechać tylko jedna osoba i szanowne jury wybrało mnie, ponieważ to ja byłem na tym filmiku i - chcąc nie chcąc - włożyłem w niego trochę więcej pracy, oczywiście nie umniejszam tym samym wkładu moich koleżanek. Na szczęście dla nich też są przewidziane jakieś nagrody, więc bez obaw.

Wyjazd będzie trwał od 5 do 28 lipca i obejmuje zajęcia (5 razy w tygodniu), zwiedzanie Moskwy, sparta-

kiady młodzieżowe, święto kultur, gdzie na obóz przyjeżdżają uczniowie z 40 krajów świata, no i tutaj mam mały problem, ponieważ muszę zabrać strój ludowy lub jakiś symbol...

Czego się spodziewam po obozie? Że spotkam wielu nowych ludzi z całego świata, być może nawet nawiążę jakieś bliższe znajomości... Może zwiedzę prezentowane przez mnie na filmie obiekty? Na pewno będzie to niepowtarzalna okazja podszlifowania języka. Mam nadzieję, że wykorzystam ten czas jak najlepiej. Zobaczymy, jak zostanie przyjęty, tym bardziej że pod koniec obozu będę obchodzić swoje 18. urodziny.

Jeszcze raz chciałbym podziękować oficjalnie dziewczynom za pomoc, bez nich nie dałbym rady tego zrobić, oraz dwóm tajemniczym operatorom, którzy zastrzegli swoje dane:)

PS Gdyby ktoś był zainteresowany, to przyjmuję zamówienia na pamiątki (książki są tam podobno bardzo tanie) czy jakieś inne dziwne przedmioty, o ile można je w ogóle przewieźć przez granicę...

- Kamil Przybyszewski

Konkurs krasomówczy o Laur ks. Sarbiewskiego

*8. maja w szkole w Sarbie-
wie odbył się finał konkursu kraso-
mówczego, w którym wzięło
udział siedemnastu uczniów
naszej szkoły – zarówno gimna-
zjalistów, jak i licealistów. Idea
konkursu jest promować wzorce
pięknej wymowy, oratorstwa.
Uczniowie mieli dowolność w wy-
borze tematów – dlatego też posta-
wili na różnorodność. Problematy-
ka ich przemówień dotyczyła mię-
dzy innymi problemów młodzieży,
bardzo aktualnej kwestii manipu-
lacji przez media czy dbałości o
środowisko, w którym żyjemy.
Poniżej prezentujemy dwa nagro-
dzone przez jury przemówienia
oraz wyróżnione przemówienie,
które zostało też wygłoszone z
okazji Biesiady organizowanej
przez Bibliotekę Miejską 29. maja
na scenie Szkoły Muzycznej.*

**Agnieszka Adamska – miejsce
I**

Temat: Bunt wśród młodzieży

Serdecznie witam wszystkich zgromadzonych. Chciałabym zaproponować Państwu krótką podróż w czasie. Proszę zapiąć pasy i zamknąć mocno oczy. Oto macie znowu naście lat, na świat patrzycie przez różowe okulary, z życia chcecie czerpać każdą chwilę i Wasza egzystencja jest skąpana w słodkiej niewiedzy na temat tego, co należy robić w przyszłości i jakie ciężary dźwigać na swoich barkach. Macie swoje ideały, ideologie a przede wszystkim głęboko za-

korzeniony bunt. Bunt przeciwko szarej rzeczywistości, przeciwko konformistycznemu pojmowaniu świata. Za nic nie możecie zrozumieć swoich matek, ojców, babek, którzy ulegają, nie wierzą, nie pragną zmian. Wy zaś wierzycie, że można inaczej, że uda się lepiej, że można przeobrazić w niektórych miejscach chory i krwawiący organizm, w którym się wychowaliście. Mijają lata i po buncie nie pozostaje nic, wchodzi się w kolejny etap życia, w którym następuje powolne znieczulenie na ideały młodszych lat, przyzwyczajenie do utartego porządku. „Bo tak musi być” – to zdanie, które wbija się coraz częściej w szare komórki mózgu i wraca za każdym razem ze zdwojoną siłą. Dawne poglądy są zamknięte w kuferku ze starymi zdjęciami i przykryte osłonką wspomnień, wsiada się do nowego przedziału zwanego dorosłością, gdzie nie ma miejsca na sprzeciw, człowiek miota się w codziennej gonitwie w poszukiwaniu lepszej pracy, zarabianiu pieniędzy, zdobywaniu kolejnych szczebli kariery. Ja mówię: nie! Apeluję o mądry bunt, który, według Grochowiaka, się ustatednia, udorzecznia i uskrzydla.

Tymczasem spójrzmy na stosunki pomiędzy młodymi a ich rodzicami. Po raz kolejny powtarza się utarty scenariusz, tak naprawdę analogiczna sytuacja z ich młodości.

O ile łatwiej byłoby gdyby człowiek miał lepszą pamięć i nie zapominał o swoich dawnych potrzebach. I tak oto od wieków ścierają się starzy i młodzi, w żaden sposób nie mogąc się zrozumieć. A czasem wystarczy tak niewiele. Nie twierdzą, że wszyscy młodzi mają poukładane w głowach i szeroko widzą otaczającą ich rzeczywistość, jednak stają w obronie tych, którzy mają odwagę mówić o swoich poglądach, manifestować je i walczyć o poprawę złych nawyków a my zakładamy na nich ramy. Weźmy pierwszy, tak znany nam wszystkim, przykład jak szkoła. Instytucja od lat wpływająca niebagatelnie na kształtowanie naszego społeczeństwa. Czy aby jej machina zbyt nie służy powszechnemu gombrowiczowskiemu upupianiu, bo „Słowacki wielkim poetą był”? Cała wartość człowieka jest upychana w oceny i cyferki, które w niewielkim stopniu odzwierciedlają prawdziwą wiedzę. Zobaczmy, na czym polega matura z języka polskiego? Nie liczy się kreatywność, inwencja, własne poglądy. Ważny jest klucz. Co z tego, że noblista Wisława Szymborska, interpretując swój wiersz, matury tej by nie zdała, gdyż swoimi odpowiedziami nie trafiła w ten wszechmocny zestaw odpowiedzi? A to liczba punktów decyduje o dostaniu się na jak najlepsze studia.

Czemu tak dziwnie patrzymy na szaleńców, którzy wybierają trochę inną drogę niż ta przez wszystkich uznana i poprawna? Cytując bohatera dramatu Mrożka: „Załóż rodzinę, myj zęby, jedz widelcem i nożem!”. Otóż ważny jest własny patent na życie, tymczasem często idziemy na łatwiznę, gdyż lepiej nie narażać się na śmieszność czy ludzkie gadanie. A to właśnie dzięki buntowi niejednokrotnie działały się rzeczy wielkie, gdyby nie on, do tej pory kobiety spychane byłyby na margines społeczny. Tylko niezgoda na nieprawidłowo działający porządek może doprowadzić do jego zmiany. Ważnym jest, żeby pamiętać o sobie i nie zatracać własnego jestestwa. Kiedy sytuacja tego wymaga, potrzebny jest bunt, bo tylko on może być motorem zmian. „Wierzę w bunt jako najwyższą wartość młodości. Wierzę w bunt jako najwyższą formę nienawiści do terroru, ucisku i niesprawiedliwości” – cytuję za Markiem Hłaską. Ważnym jest, aby pamiętać, że to my tworzymy czasy, w jakich żyjemy. Jeżeli chcemy, wiele możemy zdziałać a bycie idealistą i indywidualistą nie musi skazywać na życie poza społeczeństwem a wręcz przeciwnie – mądry bunt potrafi to życie ulepszyć. Dziękuję za uwagę.

Jakub Nowak – miejsce III

Temat: Degradacja sztuki przez popkulturę

Długo zastanawiałem się nad wyborem tematu przemówienia. Doszedłem jednak do wniosku – i moja teza potwierdziła się, gdy wysłuchałem swoich kolegów na etapie eliminacji, że tak naprawdę temat nie jest najistotniejszy. Bo przecież każdego z nas porusza coś innego. Każdy przywiązuje uwagę do innych spraw i wartości. Najważniejsze, byśmy w natłoku naszych codziennych obowiązków znaleźli tę chwilę, którą przeznaczymy właśnie na refleksje.

Przystąpienie do tego konkursu otworzyło przede mną nowe ścieżki. Otworzyło nowe ścieżki mojej świadomości. Przez ostatni rok żyłem bardzo bezrefleksyjnie, żyłem mechanicznie. Setki obowiązków, które wzięłem na swoje barki, nie pozwalały mi wzniesić głowy w górę i spojrzeć w gwiazdy. Brakowało mi, jak widać, jednego tylko impulsu, by znów zacząć myśleć, może trochę o sobie, ale przede wszystkim o otaczającym mnie świecie.

Temat, który chciałbym poruszyć, to „Degradacja sztuki przez popkulturę”. W mojej wypowiedzi będę częściowo opierał się na argumentach podanych już na etapie eliminacji, jednak, jako że moje przemówienie spodobało się komisji na tyle, iż postanowiła

zaprosić mnie do kolejnego etapu, chciałbym spróbować nieco bardziej rozwinąć swoją myśl.

Zastanawiał mnie fenomen popkultury. Każdy z nas potrafi podać setki... tysiące jej przykładów. I to bez zastanowienia. Ze sztuką bywa już trudniej. Oczywiście każdy z nas zna Rafaela Santiego, Michała Anioła, Rubensa. Ale co my tak naprawdę o nich wiemy? Nic. Bo w szkole nie uczy się nas o sztuce. Książki pokazują obraz i podają jego interpretację. Sztuki możemy uczyć się w zaciszu swoich domów. Sami.

Zastanówmy się jednak – jak wiele powodów znajdujemy każdego dnia, by tego nie robić? Ciężki dzień w pracy czy w szkole, dużo obowiązków, pracy domowej. Jak więc widzimy, popkultura góruje nad sztuką dzięki swojej łatwości, w przeciwieństwie do sztuki nie wymaga od nas zatrzymania się, refleksji. To wielkie udogodnienie, szczególnie dziś, w XXI wieku. Oczywiście nie twierdzę, że udaje mi się to wszystko pogodzić. Uważam jednak, że sztuka warta jest pewnych poświęceń. Większy problem rodzi się, gdy powodem ignorancji względem sztuki okazuje się zwyczajny brak zainteresowania, gdy nawet nie szukamy wymówek, by sztuki unikać. A to przecież właśnie sztuka kształtuje naszą osobowość. Jeśli za sztukę uznamy popkulturę, staniemy się tacy jak ona – prości, bezre-

Z życia szkoły

fleksyjni, łatwi. Tak właśnie niestety postrzegam współczesne społeczeństwo. Ludzie biegną za pieniędzmi, sławą, dobytkiem. Z klapkami na oczach po prostu pędzą przed siebie.

Tak więc to my, bardziej lub mniej świadomie, wybieramy popkulturę. Dla wygody, przyjemności, pozwalamy degradować sztukę do rangi mało znaczącego dodatku. W jaki sposób więc mamy podjąć walkę z popkulturą? A właściwie, czy w ogóle powinniśmy to robić? Którą z tych dwóch wartości powinniśmy wybrać i czy drugą należy całkowicie odsunąć na bok?

Nie stoję tu przed Państwem dziś po to, aby odpowiedzieć na zadane przed chwilą pytania. Wręcz przeciwnie. Chciałbym podzielić się tym, co mi samemu zostało dane – możliwością refleksji. Chciałbym, by moje słowa pozostawiły w Państwa sercach



pewną niepewność niecierpiącą zwłoki i nieżałującą środków w celu jej rozwiania.

Na zakończenie chciałbym zacytować jeszcze słowa wielkiego Polaka, ale także Włocha, Niemca, Etiopczyka, ojca wielu narodów, o czym często zapominamy. Współczesny filozof, pedagog, teolog, zmarły przed pięcioma laty Jan Paweł II powiedział, że „Świat bez sztuki naraża się na to, że będzie światem zamkniętym na miłość.” Mam nadzieję, że te słowa, nakierują Państwa na właściwe tory myślenia. A przynajmniej skłonią do refleksji...
Dziękuję za uwagę.

Antonina Cieślińska – wyróżnienie

Temat: Muzyka uśmiechem

Szanowni Państwo, współcześnie muzyka odgrywa bardzo ważną rolę. Zdecydowana większość młodych oraz dorosłych ludzi słucha jej dla rozrywki, odpoczynku lub poprawienia nastroju. Muzyka otacza nas wszędzie i jest nieodłączną częścią naszego bytu.

Ale czy w życiu codziennym tak naprawdę doceniamy znaczenie muzyki? Za jej pomocą wiele grup społecznych, jak i doświadczonych muzyków potrafi przekazać własne emocje i idee. Nieodłącznym elementem subkultur zawsze jest muzyka – czy to punk rock, czy rock'n'roll. Za pomocą muzyki możemy więc wyrażać samego siebie, jako poje-

dynczą osobę, ale również jako grupę.

Tworzenie i słuchanie muzyki może bawić. Jednak czy ktoś z Państwa zastanawiał się nad inną, na ogół pomijaną stroną muzyki?

Muzyka, oprócz zabawy i przyjemności, może nieść ze sobą ratunek i pomoc cierpiącym. Dzięki niej, poprzez muzykoterapię, dociera się do pacjenta. Ten rodzaj terapii pomaga otwierać się chorym ludziom na świat i społeczeństwo. Ciężko chorzy nastolatki często nie mogą się pogodzić ze swoją chorobą, są załamani i popadają w depresję. Terapia muzyką ułatwia im przełamanie barier, które przez chorobę spiętrzyły się wokół nich, oraz powrót do radosnego i szczęśliwego życia.

W muzyce odkrywamy wartości – piękne i prawdziwe, które często pomagają nam w życiu. Dzięki muzyce potrafimy zrozumieć uczuciowy charakter romantyków lub odkryć w sobie patriotyzm. W muzyce znajdują się zakłete historie pozwalające zapomnieć o teraźniejszości oraz wznieść się do krainy marzeń i ukoić zszargane nerwy, bo przecież w dzisiejszym świecie tak mało jest czasu na wytchnienie. Szczególnie my, młodzi, osaczeni jesteśmy nieustannym stresem. Już teraz musimy podejmować decyzje mające zaważyć na

naszym przyszłym życiu. Myślę, że każdy nastolatek powinien od czasu do czasu zagłębić się w cudownej krainie muzyki i schować się pod jej Egidą.

Muzyka. Czy jest dla nas tylko harmonicznym zbiorem interwałów, półtonów, akordów, trójdźwięków, dominant, pasaży, gam, tonacji, kwint i trytonów? A może to coś więcej niż zbiór matematycznych

proporcji, czy nieskomplikowanych rytmów służących jedynie rozrywce? Dla mnie muzyka jest pasją, całym życiem. Pomaga mi w podejmowaniu trudnych wyborów i pozbyciu się wątpliwości. Muzyka jest również rozrywką, dzięki której nie potrafię się nudzić. Ale jest ona też czymś więcej. Choć na chwilę pozwala pozbyć się uczucia samotności, bezsilności w sytuacjach, z których

nie widzimy wyjścia. Jednak właśnie to ona ostatecznie pozwala je znaleźć.

Muzyka jest pomocą, przyjemnością, jest innym światem i codziennym uśmiechem. A kto chciałby żyć bez uśmiechu...

Złot Szkół Sienkiewiczowskich

Poniżej zamieszczamy, nagrodzony 2. miejscem w konkursie na list do Henryka Sienkiewicza (konkurs organizowany z okazji corocznego Złotu Szkół Sienkiewiczowskich), tekst Ewy Dzitowskiej.

Kocham się w języku polskim

Jest 10 grudnia 1905 roku. Akademia Królewska w stolicy Szwecji, Sztokholmie. W tłumie najświetlejszych umysłów ówczesnego świata staram się odnaleźć jedną osobę. Zadanie to nie należy jednak do najłatwiejszych. Niepewnie rozglądam się dookoła siebie. Po chwili dostrzegam szpakowatego, dojrzałego mężczyznę o regularnych rysach i melancholijnym spojrzeniu. To jego szukałam! Podchodzę do otaczającej go zróżnicowanej narodowościowo grupy i witam

się polskim: „Dzień dobry”. Na dźwięk tych słów mężczyzna, jakby wyrwany z letargu, wstaje, chwytając mnie za rękę i prowadzi na drugi, najbardziej opustoszały koniec sali.

Henryk Sienkiewicz: Jak dobrze usłyszeć polską mowę w tym zgielku! Och... Proszę mi wybaczyć mój nietakt, nie pozwoliłem się nawet pani przedstawić (całuje mnie w rękę). Czy mogłaby mi pani powiedzieć, z jakże piękną rodaczką mam przyjemność rozmawiać?

Ewa Dzitowska: Dzień dobry, nazywam się Ewa Dzitowska i, tak jak Pan słusznie zauważył, jestem Polką. Pochodzę z Płońska, małego miasteczka położonego niedaleko Warszawy, zapewne...

H. S.: Płońsk! Oczywiście, że pamiętam to miejsce! Przypominam sobie gęsto poszyty, stary park, któremu codziennie

przyglądałem się z okna swojego pokoju. Byłem wtedy taki młody... Ech, przepraszam najmocniej, że pani przerwałem. Nie wiedzieć czemu, czuję się dziś wyjątkowo poruszony. Proszę mówić dalej.

E. D.: Myślę, że powodów do wzruszeń zdecydowanie Panu dzisiaj nie brakuje. Załedwie przed chwilą został Pan wliczony do grona najświetlejszych umysłów świata. Carl David af Wirsén, sekretarz Królewskiej Akademii w Sztokholmie, wręczając Panu nagrodę, tak podsumował Pański dotychczasowy dorobek artystyczny: „W każdym społeczeństwie są geniusze, skupiający w sobie ducha narodu. Oni reprezentują jego charakter w oczach świata. Pielęgnują wspomnienia przeszłości narodu, by natchnąć go nadzieją na przyszłość. Są jak dęby – ich natchnienie zakorzenione jest głęboko w historii,

Z życia szkoły

lecz korona szumi w wichrach dzisiejszego dnia". Mógłby się Pan odnieść do tych słów?

H. S.: Wielką radością jest dla mnie, że Królewska Akademia doceniła właśnie syna Polski. Formalnie bowiem nasz kraj nie istnieje. Polskiej kultury i tradycji powinno nie być: „Głoszono ją umarłą, a oto jeden z tysięcznych dowodów, że żyje. Głoszono ją podbitą, a oto nowy dowód, że umie zwyciężać”.

E.D.: Czyli nie traktuje Pan tej nagrody jako odznaczenia personalnego, lecz jako symbol trwałości narodu polskiego, siły jego tradycji i kultury?

H.S.: Nagroda Nobla jest bardzo prestiżowym odznaczeniem, a otrzymanie jej stanowi dla mnie ogromny zaszczyt. Całą swoją twórczość poświęciłem jednak Ojczyźnie – Polsce. Z tego powodu największą satysfakcję sprawia mi, że swoją pracą udało mi się zwrócić uwagę innych nacji na sprawę polską oraz dążenia niepodległościowe Polaków. Mam nadzieję, że od dzisiaj Polska będzie na ustach ludzi na całym świecie.

E.D.: Wierzy Pan, że nagroda ta może coś zmienić w sytuacji, w jakiej już od ponad wieku znajduje się nasza Ojczyzna?

H.S.: Sądzę, że w kwestii politycznej nie wywoła ona żadnych większych zmian. Wątpię, aby nasi zborcy nagle dobrowolnie zrzekli się swoich pretensji do ziem polskich i pomogli Polakom przywrócić niepodległość ich państwu. W

tym wypadku chodzi mi jednak o symbol i kontynuację dzieła, któremu poświęciłem całe swoje dotychczasowe życie – krzewienie w moich rodakach tożsamości narodowej. Jedynie w pełni świadomy swojego pochodzenia człowiek może stać się pełnowartościowym obywatelem kraju swoich narodzin.

E.D.: Podobnie jak Pańskie powieści, ma ona służyć „ku pokrzepieniu serc”?

H.S.: Dokładnie tak. Poprzez swoją twórczość zawsze starałem się ukazać wielką siłę drzemiącą w Polakach. Nieślabnący upór do walki z zaborcą oraz fakt, że mimo wiekoletniej niewoli naród polski nadal istnieje, jest na to najlepszym dowodem. To jest coś, co znacznie odróżnia nas od innych nacji. Powinniśmy być z tego dumni i konsekwentnie kontynuować dzieło naszych przodków poprzez kultywowanie polskiej tradycji, zachowywanie obyczajów, znajomość narodowego języka i historii. Dlatego właśnie poświęciłem swoje życie rozbudzaniu w moich rodakach uczuć patriotycznych oraz wiary w wolną Ojczyznę. Zdecydowałem się na walkę piórem. Co prawda, przyznaję, że nie raz w swoich powieściach historycznych przedstawiałem fakty niezgodne z prawdą historyczną. Zazwyczaj zdecydowanie rozdzielałem wykreowane przeze mnie postaci na „dobre” lub „złe”. Często idealizowałem w nich również obraz społeczeństwa polskie-

go. Nigdy jednak nie uznawałem się za typowego pisarza historycznego. Moja twórczość miała na celu przede wszystkim szerzenie wśród Polaków wiary w zwycięstwo w walce o niepodległość Ojczyzny. Zważając jednak na popularność moich powieści oraz nagrodę, którą dzisiaj otrzymałem, stwierdzam, że takie starania przynoszą pewne efekty.

E.D.: Niezaprzeczalnie Pańska twórczość spotkała się z entuzjastycznym aplauzem zarówno ze strony narodu polskiego, jak i członków szwedzkiej Królewskiej Akademii.

Od wdzięcznych rodaków otrzymał Pan nawet majątek ziemski w Oblęgorku z okazji jubileuszu 25-lecia pracy twórczej. Uważa Pan, że fenomen Pańskich powieści, noweli czy opowiadań kryje się właśnie w patriotycznym duchu, w której każda z nich jest utrzymana?

H.S.: Myślę, że tak. Polacy, od ponad wieku marzący o niepodległym kraju, z chęcią czytają, jak to ich przodkowie bohatercko rozgromili okrutnych Krzyżaków pod Grunwaldem czy heroicznie bronili twierdzy w Częstochowie przed najazdem Szwedów. To daje nadzieję, że jesteśmy w stanie stać skutecznym opór swoim wrogom i zwyciężyć ich. W swoich powieściach często stosuję także kontekst historyczny, który można odnieść do czasów nam współczesnych, np. pisząc powieść „Krzyżacy” i ukazując w nim wyjątkowo negatywny obraz rycerzy za-

konnych w odniesieniu do Polaków, miałem na myśli wzmożoną germanizację prowadzoną na ziemiach polskich. Również w swoich nowelach czy opowiadaniach poruszam powszechne i dobrze znane problemy, takie jak choćby wielka emigracja Polaków i ich tułaczka po świecie, którą ukazałem poprzez postać Skawińskiego w „Latarniku”.

E.D.: A jak ocenia Pan krytykę ze strony polskich pozytywistów i modernistów, według których w swojej twórczości propaguje Pan łatwy optymizm, lenistwo i ubóstwo duchowe, nie dostrzegając przy tym złożoności procesów społecznych?

H.S.: Wydaje mi się, że do sporu z młodym pokoleniem polskich twórców doprowadziłem sam, publikując w 1903 r. w „Kurierze Teatralnym” krytyczną ocenę literatury młodopolskiej. Wtedy określiłem ją jako „ruję i porubstwo”, narażając się tym samym na gniew moich młodszych kolegów. Nie uważam jednak, aby moja opinia wyrażona w tej sprawie była niesprawiedliwa. Nie żałuję żadnego swojego słowa. Myślę również, że nagroda, którą dzisiaj mi przyznano, stanowi pewnego rodzaju potwierdzenie mojej racji w tej kwestii.

E.D.: Jest Pan wielkim optymistą, prawda? Wydaje mi się, że niezachwianie wierzy Pan w niepodległą Polskę?

H.S.: W moim mniemaniu: „Gwiazdka nadziei gaśnie

ostatnia”. Gdybym nie wierzył w odzyskanie niepodległości Ojczyzny, nie poświęciłbym całego swojego życia pracy twórczej. Mógłbym odrzucić wszelkie ideały i stać się wyłącznie biernym obserwatorem rzeczywistości, w której przyszło mi żyć. Jednocześnie zdaję sobie jednak sprawę, że nie byłbym w stanie w ten sposób funkcjonować.

E.D.: Ponieważ jest Pan patriotą? Niezaprzeczalnie tak. Jednakże czy mógłby mi Pan dokładniej wyjaśnić, jak Pan postrzega tę wartość?

H.S.: Patriotyzm stanowi nieodzowną część mojego światopoglądu. Uważam, że: „Należy miłować ojczyznę nade wszystkim i należy myśleć przede wszystkim o jej szczęściu. Ale jednocześnie pierwszym obowiązkiem prawdziwego patrioty jest czuwać nad tym, by idea jego Ojczyzny nie tylko nie stanęła w przeciwieństwie do szczęścia ludzkości, lecz by się stała jedną z jego podstaw. Tylko w tych warunkach istnienie i rozwój Ojczyzny staną się sprawą, na której całej ludzkości zależy. Innymi słowy, hasłem wszystkich patriotów powinno być: przez Ojczyznę do ludzkości, nie zaś: dla Ojczyzny przeciw ludzkości”.

E.D.: Czy Ojczyzna stanowi dla Pana największą z wartości?

H.S.: Myślę, że jedną z najważniejszych. W moim mniemaniu bowiem prawdziwy patriota to ktoś, kto niczego nie przedkłada nad dobro swej ojczystej

ziemi: „Biada narodom, które kochają więcej wolność niż Ojczyznę!” Zniwolona Ojczyzna nigdy nie zapewni żadnemu z jej obywateli wolności.

E.D.: Jest Pan bardzo konsekwentny w swoich poglądach dotyczących Ojczyzny i patriotyzmu. Jedną z Pana przyjaciółek, Maria Radziejewska, tak o Panu napisała w swoim pamiętniku: „Jest on na wskroś Polakiem”. Skąd w Panu tak mocne przekonanie o istocie tych wartości?

H.S.: Kształtowanie mojego światopoglądu i postawy życiowej miało swój początek zapewne już w najmłodszych dla mnie latach. Pochodzę z polskiej rodziny szlacheckiej pieczętującej się herbem Oszyk. Mój dziad, Józef, był żołnierzem Legionów Dąbrowskiego. W moim domu rodzinnym zawsze kultywowało się polskie tradycje i obyczaje, rozmawialiśmy ze sobą w języku polskim. Niestety, nie mogłem brać udziału w powstaniu styczniowym ze względu na swój młody wiek, liczyłem sobie wówczas jedynie 14 lat. Swoją bohaterską walką w nim wspaniałym się jednak mój starszy brat, Kazimierz. Można by stwierdzić, że moja patriotyczna postawa kształtowała się już od pierwszych dni życia.

E.D.: Teraz rozumiem, dlaczego zdecydował się Pan właśnie na walkę piórem. Praca pisarza dawała niewyczerpane możliwości, aby ten swój patriotyzm, przywiązanie do Ojczyzny wyrażać, prawda?

Z życia szkoły

H.S.: Dokładnie tak. Swoje pierwsze próby literackie podejmowałem już w wieku 19 lat. Chciałem przekazać innym swoje odczucia, wyrażać siebie i przedstawiać swoją wizję niepodległej Polski. Ogromną satysfakcję sprawiał mi również fakt, że swoimi słowami mogę wpływać na świadomość czytelników. Zawsze zdawałem sobie jednak sprawę, że „słowa nie powinny być większe od czynów”. Wiem, że żadne słowa nie oddadzą tego, co przeżyłem i czego udało mi się do tej pory dokonać.

E.D.: Dlatego zdecydował się Pan na działalność charytatywną?

H.S.: Z domu rodzinnego wyniosłem również jeszcze jedną

piękną wartość – chęć niesienia pomocy. Myślę, że „dobroć serca jest tym, czym ciepło słońca: ona daje życie”. Choćby dlatego zdecydowałem się w ofiarowanym mi przez rodaków majątku w Oblęgorku utworzyć ochronkę dla dzieci.

E.D.: Wróćmy jeszcze do kwestii Pańskiego patriotyzmu – mimo tak wielkiego przywiązania do Ojczyzny, nie stroni Pan również od podróży...

H.S.: Przyznaję, że podróże, zarówno te dalekie, jak i te w obrębie Starego Kontynentu, zawsze stanowiły obszar mojego wielkiego zainteresowania. Do tej pory odwiedziłem praktycznie wszystkie najdalsze zakątki świata. Byłem w Stanach Zjednoczonych, Afryce,

zobaczyłem znaczną część Europy. Choćby widziałem już tak wiele, poznanie nowego otoczenia, kultury, obyczajów zawsze sprawia mi taką samą ogromną radość i satysfakcję. Muszę jednak przyznać jedno – „Nie ma na świecie drugiego takiego miejsca jak Warszawa!”.

E.D.: A jaka jest Pana największa życiowa miłość?

H.S.:(z uśmiechem) „Jeśli się kocham – to w języku polskim.”

E.D.: Dziękuję za rozmowę.

- Ewa Dzitowska

Kochaj i rozszerzaj!

Koniec roku tuż tuż. Tak, no oczywiście wszyscy się cieszą, są zadowoleni, że już nie trzeba będzie się uczyć i w ogóle będzie luz. No okej. Każdemu z nas na pewno taki odpoczynek się należy i to bez żadnych wątpliwości. Nasi maturzyści skończyli już szkołę i będą sobie leniuchować po 3 latach ciężkiej pracy. Drogoklasiści ładują baterie przed maturą. A „pierwszaki”? Hmm... Zobaczmy, co planują do tychczasowi pierwszoklasiści:

Kuba: Wyjeżdżam w góry, lubię ten klimat. Zobaczymy, co potem. Na razie staram się maksymalnie przygotować do wakacji, no oczywiście do odpowiedniego końca roku szkolnego.

Magda: Nie wiem, co będę robić ;) Posiedzę w domu, na trochę pojadę do babci, a tak to spańsko do 12, duuużo leniuchowania i wylegiwania się na słońcu.

Mateusz: Całe wakacje z piłką! Tylko ja i ona... i 21 innych chłopaków! ;)

Jak widzimy, plany są

zgoła odmienne dla zgoła odmiennych osób. Ale jest jedna rzecz, która nas łączy (nie, nie neostrada). My wszyscy, zaczynając drugą klasę liceum, zaczynamy jednocześnie romanse z rozszerzeniami. No cóż. Myślę, że nikomu nie trzeba tłumaczyć, coż to takiego jest. Pierwszy termin wybierania rozszerzeń już minął, jednak nasza szkoła jest w tym względzie dosyć elastyczna (i chwala jej za to!). Hmm... no sytuacje bywają różne. Dajmy taki przykład: ktoś bardzo lubi nauki

Z życia szkoły

przyrodnicze takie jak biologia, chemia. Powiedzmy, że chce studiować medycynę. No dobrze, wszystko ładnie, pięknie, na kartce ładnie zaznaczone właśnie te przedmioty plus może fizyka (dla niewtajemniczonych: potrzebna na medycynie), no i radość w sercu tej osoby zapanaowała wielka. Ale. Ale. Ale! Po kilka dniach, tygodniach, miesiącach... Coś się zmieniło. Coś jest nie tak! Grzybki nie ciągną już jak kiedyś. Elektroliza nie jest już tak kochana, a znad łóżka pomału znika plakat z wzorami na kwasy karboksylowe. Więc cóż? No powiedzmy ten ktoś idzie w kierunku na(ł)uk ścisłych takich jak np. matematyka. No okej. Jego wola, jego prawo, w końcu jego życie i jego przyszłość. No ale. Ilu z nas już stawało przed takim dylematem? Że rozszerzamy jedno, a chcemy drugie? Na pewno znajdzie się kilka (naście) osób (yhym...). A co myślą o tym nauczyciele? Myślę, że warto poznać i ich głos w tej sprawie. Wszak to właśnie oni nas w końcu (tadam!) uczą! Po tym niesamowitym wniosku przejdźmy zatem do sedna a więc do opinii o rozszerzeniach i samych rozszerzających. A więc? Czujecie te emocje? Ten dreszczyk podniecenia? Mówi sorka Ostaszewska: *Rozszerzenia są bardzo ważne,*

szczególnie jeśli ktoś myśli o jakimś elitarnym kierunku studiów. Wybór rozszerzeń to podstawa do późniejszego wyboru studiów. Jeśli ktoś już wiąże z jakimś przedmiotem, kierunkiem swoją przyszłość, to musi to być jego hobby, wielka pasja życiowa. Rozszerzenia mobilizują do wzmożonej pracy. Przynajmniej tych ambitniejszych uczniów. Bo jeśli komuś już naprawdę „nie idzie”, to rzadko się zdarza, aby powodem było lenistwo. Jeśli już, to zazwyczaj jest to brak możliwości, odpowiednich predyspozycji.

Trudno się nie zgodzić. Jednak niektórzy traktują to jako zło konieczne, które tylko zajmuje dodatkowe godziny w planie lekcji. Fakt, 40 godzin tygodniowo to jest wielkie obciążenie dla nas, młodych w wieku 16-17 lat. Ale takie życie niestety.

Okej, załóżmy, że już wszystko ładnie wybraliśmy i jesteśmy pewni, co chcemy robić w życiu. Niestety, czasem zdarza się bardzo przykra i dosyć niekorzystna sytuacja. Otóż niekiedy uczelnie wyższe zmieniają przedmioty, których wymagają przy procesie rekrutacyjnym. W ostatnich latach miało miejsce kilka takich sytuacji. Niby nic takiego... Ale co zrobić, gdy nagle uczelnia wymaga takiego przedmiotu, którego nie

uczylimy namiętnie przez ten rok? No... mamy problem. Musimy nadganiać, pożyczać notatki, uczyć się tego, co wcześniej niejednokrotnie wręcz pomijaliśmy. Co prawda jest nadal szansa to ogarnąć, ale... nie mamy już tej pewności, że zrobiliśmy WSZYSTKO. Że nauczyliśmy się tego, czego mogliśmy właśnie na rozszerzeniach. A jeszcze jak musimy pisać maturę rozszerzoną...

Podsumowując, kończąc, wstydu oszczędzając... My, pierwszoklasiści, dopiero wchodzimy w mechanizmy tej całej karuzeli, jaką jest matura. Rozszerzenia są dopiero biletem do niej. I to od nich zależy, do którego wagoniku później wsiądziemy. Jednak dbajmy o to, żeby nie pomylić miejsc w tych wagonikach. I żeby były po przeglądzie. I żeby ładny kolor był. I szyny nie były pęknięte. I siedzenia miękkie... Za dużo herbaty. A może... po prostu karuzela już ruszyła?

Do zobaczenia po wakacjach ! ;)

- Kamil Fijalski

Być — nauczycielem

Wiadomo, że szkoła to przestrzeń relacji pomiędzy nauczycielami a uczniami, ale także czas kształtowania osobowości, dokonywania ważnych życiowych decyzji, wykorzystywania szans/możliwości lub ich przegapienia. W tej części gazetki chcielibyśmy przybliżyć Wam sylwetki nauczycieli – polonistów, a ich zgoda na wywiad łączy się niewątpliwie z pewnym stresem i ryzykiem:) Chcieliśmy pokazać przede wszystkim ich osobowość, różnorodność. Ale – okazuje się – jednocześnie pokazaliśmy osobowość osób te rozmowy przeprowadzających. Mamy nadzieję, że będzie to cykliczny dział gazetki.

Z sorką Justyną Sarzalską rozmawia Michał Markiewicz

„Wydaje mi się, że nie jestem odpowiednią osobą do tego, żeby udzielać wywiadów. Jestem schematyczna i w związku z tym mało interesująca” – po tych słowach utwierdziłem się w przekonaniu, że jest zupełnie odwrotnie. W skrócie: z Sorką Justyną Sarzalską o analizowaniu, Świnie Pepsie, o przyjemnościach i koniecznościach.

Dlaczego zdecydowała się Sorka zostać polonistką?

To nie jest trudne pytanie... Taką decyzję podjęłam właściwie pod koniec szkoły podstawowej. Oczywiście pamiętamy cały czas o tym, że szkoła podstawowa liczyła wtedy 8 klas, chociaż wcale nie jest to taka zamierzchła przeszłość. Językiem polskim interesowałam się od zawsze, czytanie, literatura – to była moja pasja. Zaraziła mnie nią moja wychowawczyni – polonistka, pani Barbara Liberek, banalnie to brzmi, prawda? To był mój ideał nauczyciela właściwie od samego początku. Osoba, która zawsze potrafiła każdego zmobilizować, do każdego dotrzeć. Jest moim wzorem, właściwie takim niedoścignionym do dzisiaj. Fascynacja innym nauczycielem... ona się rozwija, rozwija... no i człowiek sam wybiera ten zawód. W liceum byłam w klasie humanistycznej i prawie na 100% wiedziałam, co chcę w życiu robić. Polonistyka była kierunkiem, do którego byłam przekonana niemal od zawsze. W czasie liceum jednak moje pasje na chwilę przysnęły, ale w pewnym momencie nabrałam przekonania, że mimo wszystko – muszę na polonistykę zdawać. Od początku wiedziałam też, że będzie to specjalizacja nauczycielska, bo właśnie nauczycielem chciałam zostać. To nie jest tak, że nigdy nie miałam wątpliwości... Zaczęły się na praktykach. Nie wiedziałam, czy podjęłam właściwą decyzję, ale w końcu stwierdziłam, że jeśli

nie spróbuję, to się nie przekonam. I okazało się, że właśnie to chcę w życiu robić.

Co Sorkę denerwuje najbardziej w tym zawodzie?

Nie mogę powiedzieć, że jest coś, co mnie denerwuje. To jest zawód, który lubię i staram się nabierać do niego takiego dystansu, żeby uczniowie nie wyprowadzali mnie z równowagi. Efekty mojej pracy ujawniają się dopiero za jakiś czas i już nie ja je zobaczę... Nie jest to co prawda denerwujące, ale dla mnie niepewne, frustrujące. Ludzie, którzy kończą naszą szkołę, rozchodzą się po świecie. Właściwie to w większości przypadków nie znam dalszych losów moich uczniów... Nie widać namacalnych efektów tej pracy. Ale co może być denerwujące?... Denerwujące jest ocenianie nauczycieli przez uczniów, którzy tych nauczycieli nie znają. Idą do pierwszej klasy i z góry wiedzą, do jakiego nauczyciela chcą trafić. Denerwujące są plotki. Sytuacje, kiedy nie mamy wpływu na rzeczywistość. Myślę, że to dotyczy nie tylko nauczycieli. Denerwuje mnie pasywność ze strony uczniów, brak współpracy, lekcja, podczas której pytania są rzucane w próżnię. Myślę, że bardzo często nauczyciel jest lekceważony. Ja sama czuję się dowartościowana, ale myślę, że zawód jest niedoceniany. Nie wiem, dlaczego tak jest. Żeby dokładnie

odpowiedzieć na takie pytanie, musiałabym się zagłębić w szczegółową analizę (śmiech). Mogę podać przykład z życia, gdzie na polonistyce osiemdziesiąt osób na sto deklaruje, że nie chce pracować w szkole. Mimo to studenci wybierają specjalizację nauczycielską tak „na wszelki wypadek”. Ja „na wszelki wypadek” wybrałam dodatkowo specjalizację edytorską. Wiele zależy oczywiście od tego, jacy będą nauczyciele. Czy będą to osoby, które uczą, bo muszą, czy takie, które uczą, bo chcą. Oczywiście nauczyciele nie są osobami idealnymi. Sama widzę, że popełniam błędy i staram się ich nie powtarzać.

Jeśli nie nauczycielem, to kim by Sorka została?

Hm, trudno mi to sobie wyobrazić, może psycholog, logopeda? Ostatecznie edytor. Widziałabym siebie w zawodach, gdzie ważne są relacje międzyludzkie, na pewno nie jestem typem urzędnika. Interesuję się psychologią, więc siebie też przeanalizowałam psychologicznie we wszystkie strony, a mam jeszcze skłonność do drobniawego analizowania, co już w ogóle mnie czasami pogrąża (śmiech). Paradoksalnie, jestem osobą, która nie nawiązuje łatwo kontaktów. Nie jestem typem duszy towarzystwa. Zdecydowanie nawiązując nowe kontakty, czuję barierę – za to nie wyobrażam sobie siebie w pracy innej, niż ta, gdzie dobre relacje są ważne. O ile relacje w życiu osobistym nawiązują rzadko, ale na zaw-

sze, to absolutnie nie miałam problemu z tym, żeby stanąć przed klasą i być osobą dominującą. To sprzeczność mojej osobowości.

Jak wspomina Sorka okres studiów?

Czas studiów uważam za najbardziej komfortowy w życiu człowieka. Oczywiście pod warunkiem, że możemy studiować i nie pracować jednocześnie. Ja taką możliwość miałam. To czas, kiedy wydostajemy się spod skrzydeł rodziców, możemy zacząć własne życie, podejmować własne decyzje. Z drugiej strony jeszcze nie do końca ponosimy za nie odpowiedzialność, bo „jakby co” to rodzice zawsze pomogą. To czas, kiedy bezstresowo można wchodzić w życie, potem już nigdy tak nie będzie. Czasami przypominam sobie ten okres. Kiedy miałam zły dzień, mogłam pójść sobie na wykład, tylko posiedzieć, posłuchać, albo nie pójść w ogóle. Natomiast teraz, kiedy mam zły dzień, mimo wszystko muszę przyjść i kierować pytaniem w próżnię (śmiech). Tego komfortu już nie ma. To ma też swoje plusy. Nawet kiedy mam gorszy dzień, przychodzę do szkoły, więc automatycznie muszę nawiązać się jakieś relacje i zapominam o tym, co się dzieje w moim prywatnym życiu. Szkoła jest tym, co odstresowuje, chociaż nie zawsze miałam takie podejście. Musiałam nauczyć się pewnego dystansu i jeszcze dużo przede mną w tym zakresie.

Jaki jest Sorki sposób na taką ucieczkę przed złym dniem?

Niestety nie mam czasu, żeby realizować przepisy. Mam teraz małe dziecko, które nie ma litości, więc nawet jeśli mam zły dzień, to muszę zrealizować to, co moje dziecko sobie wymyśliło (śmiech). Staram się za to nie przerzucać swoich kłopotów na ludzi, z którymi mam kontakt. Wchodząc do klasy, staram się zostawiać wszystkie swoje zewnętrzne sprawy poza tą klasą, ale niestety w drugą stronę już mi się tak nie udaje. Problemy szkolne czasami przychodzą do domu razem ze mną.

Co Sorka lubi robić w wolnym czasie, jeśli już go Sorka znajdzie?

Ostatnio jest go bardzo mało. Czteroletnie dziecko zapełnia ten czas w stu pięćdziesięciu procentach. Siłą rzeczy zainteresowałam się różnego rodzaju bajkami dla dzieci, które są źródłem wielu spostrzeżeń socjologiczno-psychologicznych. Zauważyłam, że już od najmłodszych lat serwuje się dzieciom mnóstwo stereotypów. Moje dziecko ogląda najczęściej Mini Mini, mam świadomość, że tam nie ma brutalnych bajek. Jest za to mnóstwo stereotypów, zwłaszcza dotyczących płci. Zdecydowanie widać, że twórcami większości bajek są kobiety (śmiech). Na przykład kultową bajką jeśli chodzi o stereotypy damsko-męskie jest „Świnka Peppa”. Niewiele ci to mówi, prawda? (śmiech). Rodzinka składa się z

mamy, taty i dwojga dzieci. Streszczę jeden z odcinków: Mama wyjeżdża do koleżanki, a w międzyczasie tata i dzieci mają zlecone zadanie: powiesić obrazek na ścianie. Tata profesjonalnie się do tego zabiera, przygotowuje wszystkie narzędzia, wymierza ścianę, precyzyjnie wszystko określa, wbija gwóźdź – niestety ścianę rozwała, więc muszą załatać całą dziurę, wszystko pomalować. Gdy wraca mama, obrazek dalej jest nieprzebity. Sama przybija obrazek w ciągu sekundy i do tego komentarz dzieci: A jak tata to robił, to wydawało się takie trudne” (śmiech).

Oczywiście z przymrużeniem oka mówię, że moim hobby są te bajki. Lubię prowadzić obserwacje socjologiczno-psychologiczne. To można robić wszędzie, na przerwie podczas dyżuru, w kolejce... Lubię to. Wolny czas poświęcam na czytanie artykułów psychologicznych. Krótkich, bo na te dłuższe nie mam czasu. Od początku studiów mocno zainteresowała mnie teoria literatury i staram się to zainteresowanie rozwijać. To wcale nie jest zboczenie zawodowe (śmiech), ale naprawdę ciekawa sprawa.

Jakiej muzyki Sorka słucha?

Nie mam czasu, żeby posłuchać muzyki w spokoju. Słucham przy okazji sprzątanina, gotowania, sprawdzania klasówek – do momentu kiedy widzę, że zaczynam się mylić, wtedy muzykę muszę wyłączyć. Najczęściej radio. Lubię posłuchać w skupieniu np. muzyki Myslovitz. Do tego

potrzebuję koncentracji i dobrego dnia, bo inaczej może być to muzyka przygnębiająca. Samego zespołu nie znoszę. Byłam 2 razy na ich koncertach i nie podobało mi się. Nie mają kontaktu z publicznością, to koncerty „za szybą”. Lubię też, jak na ironię losu, a wiesz coś o tym, muzykę francuską (śmiech). Od klasyki francuskiej, oczywiście Breła, po muzykę popową, typu Natasha Saint-Pier.

Ulubiona książka? Coś, co mogłaby Sorka polecić? Tylko nie lekturę...

(śmiech) Oczywiście a propos tych lektur, to muszę stwierdzić, że przesadzony jest stereotyp, że lektury są nudne. Jest wiele ciekawych, które są niedoceniane tylko i wyłącznie z tego powodu, że wkłada się je na półeczkę „lektura szkolna”. Myślę, że to jest strasznie nie-sprawie-dli-we. Natomiast mogę polecić opowiadania Herlinga Grudzińskiego, poczynając od tych z lat 60. po późniejsze. Zwłaszcza tomik „Gorący oddech pustyni”. Nie jest to najnowsza książka, ale co jakiś czas do niej wracam. Typ literatury faktu, sporo refleksji, które można wykorzystać w życiu i to takich bez moralizowania, bez narzucania się.

Najszcześniejszy moment w życiu, z czego jest Sorka najbardziej dumna?

Trudno wyznaczyć jeden moment, jest ich kilka i najczęściej łączą się z moim dzieckiem. Szczęściem jest dla mnie, kiedy

widzę, że moje dziecko się rozwija, tworzy nowe słowa. Kiedy widzę, że wszystkie schematy językoznawcze się sprawdzają (śmiech). Wiedza zostaje poparta w praktyce ... Momenty, kiedy widzę, że dziecko mnie potrzebuje, staram się tym delectować, bo wiem, że za parę lat będzie zupełnie inaczej (śmiech). Poczucie zadowolenia, spełnienia, daje mi to, że czasem moi uczniowie sami chcą rozmawiać ze mną o swoich osobistych sprawach. Mam wtedy poczucie, że to, co robię, nie idzie na marne, że to budowanie relacji międzyludzkich, wychowywanie swoich uczniów – przynosi skutki. To ważne w mojej pracy. Myślę, że wiedza, którą mam przekazać, to jedna rzecz, natomiast nauczyciel powinien nauczyć czegoś więcej i gdy mi się to uda, wtedy mogę czuć się szczęśliwa. Wykonywanie mojego zawodu łączy się też z poczuciem odpowiedzialności. Mam przeświadczenie, że wywieram wpływ na uczniów. Odwrotnie również to działa. Poczuciem sukcesu będzie dla mnie to, kiedy za jakiś czas moi uczniowie w jakiś sytuacjach życiowych będą wspominać: „o właśnie, coś takiego słyszałem, tego nauczyłem się na lekcjach języka polskiego”. Nie czasownika, orzeczenia, podmiotu i tak dalej. Tego, co życiowe. Lekcje języka polskiego poprzez analizowanie różnych dzieł literackich stwarzają wiele możliwości dyskusji na temat wyborów życiowych po-

staw. Nie chciałabym uczniów do niczego nakłaniać, ale chciałabym, żeby to, co mówię, było na tyle spójne z moją postawą życiową, że wezmą to pod uwagę i nawet podświadomie zdecydują, w jakim stopniu mogą wprowadzić te „wskazówki” w swoje życie. Nie traktuję swoich uczniów anonimowo, są tacy, z którymi mam bliższy kontakt. Za każdym razem, kiedy maturzyści odchodzą, mam poczucie niedosytu, czegoś mi brakuje. Mimo że to naturalna kolej rzeczy, to jednak pojawia się pustka. Mam poczucie sukcesu, kiedy dostaję od nich życzenia świąteczne, jakieś sms-y. Kiedy chcą się spotkać, porozmawiać. To daje mi poczucie, że dobrze wykonałam swoje zadanie – bo chyba nie pracę, nie można nazwać bycia nauczycielem pracą. Stety lub niestety, musi być sposobem na życie.

Czyli wychodzi na to, że lepiej byłoby nie przywiązywać się do uczniów, swojej pracy? Byłoby to bardziej opłacalne.

Na pewno zaoszczędziłoby wielu negatywnych emocji, ale myślę, że tak się nie da. Jeżeli będę z kompletnym dystansem traktować swoich uczniów, to nie wytworzymy pozytywnej atmosfery na lekcjach. Cel nie zostanie osiągnięty. Można uczyć w przyjaznych okolicznościach. Z drugiej strony nie można żyć problemami uczniów i musi być dystans między nauczycielem a uczniem, który jest naturalnym dystansem wieku, pozycji. Idealnie byłoby pracować w

mniej licznych grupach, wtedy nauczyciele mogliby dostosować się do konkretnej grupy. Każda klasa jest inna i z każdą pracuje się inaczej. Mam założenie, jaki materiał musimy zrealizować, natomiast nasze relacje dopiero się kształtują i nie wiem, jak ta praca będzie wyglądała. Zdarzają się klasy, gdzie pracuje się „od do”, ale zdecydowanie częściej można dojść z uczniami do pewnego porozumienia. Pamiętasz, że ostatnio rozmawialiśmy o typach władzy. Myślę, że musi ona być jednak prowadzona silną ręką i pozostawić to bez wyjaśnienia (śmiech).

Gdyby była taka możliwość, co zmieniłaby Sorka w swoim życiu?

Gdybym miała taką wiedzę, jaką mam teraz, to na pewno nie podjęłabym kilku ważnych, życiowych decyzji. Jednak nigdy nie mamy takiego komfortu, że możemy mieć wiedzę „na zapas”, prawda? Dlatego trudno jest mi jednoznacznie ocenić moje dotychczasowe wybory, nie ze wszystkich jestem zadowolona. Zwłaszcza osobiste wybory wchodzą tu w grę. Natomiast cecha, która przeszkadza mi i którą chciałabym zmienić, ale też nie do końca, to właśnie to nadmierne analizowanie. Decyzje, wybory... Wszystkie muszę za każdym razem rozważyć. Od lewej strony do prawej, od prawej do lewej, z góry do dołu, z dołu do góry i jeszcze w którą stronę mi przyjdzie do głowy. Oczywiście im dłużej to rozważam, tym bardziej jestem prze-

konana, że coś powinno inaczej wyglądać. Taką nadmierną analityczność zdecydowanie bym zmieniła. Przetrawianie każdej sprawy jest męczące. Chociaż uważam, że bezrefleksyjne podejście do życia też nie daje człowiekowi nic dobrego. Natomiast nigdy nie zmieniłabym swojego zawodu, co nie znaczy, że wszystko mi w nim pasuje. Biorąc pod uwagę wszystkie za i przeciw, jestem zadowolona z tej decyzji.

Dziękuję za rozmowę.

Ja również dziękuję.

**Z sorką Martą Domańską rozmawiają
Anna Pałac i Krzysztof Konstantinow**

Skoro wywiad, to musi być ciekawie. Skoro cała ich seria, to czemu by go nie zrobić z jedną z osób nadzorujących pracę naszej szkolnej redakcji gazetki „HenryNews”? Sorka Domańska, bo o niej mowa, pracuje w naszej szkole cztery lata. Więcej szczegółów może nie będziemy zdradzać, bo nie po to był pisany ten tekst, żebyście się zatrzymali na wstępie...

Może na początek chwila retrospekcji... Skąd, Sorko, idea zostania nauczycielem? Była to przemyślana decyzja czy wręcz przeciwnie?

W sumie od początku lekcje polskiego naprawdę mnie cie-

kawiły, głównie dzięki charyzmie polonistki z podstawówki. Liceum z kolei dostarczyło mi konkretnej wiedzy, jednak trochę też rozczarowało – wiesz, po prostu szukałam inspiracji, wskazówek, a nie tylko klasyki. W ten sposób (okazuje się, że niedosyt to główna motywacja) zdecydowałam się na studia w Toruniu na kierunku filologii polskiej. Jednocześnie robiłam kurs pedagogiczny i specjalizację filmoznawczą, ale wtedy nie myślałam o zawodzie – raczej o tym, by – zwyczajnie – poznać literaturę i fajnych ludzi. I jakoś tak się złożyło, że po tych 5 latach znalazłam się znowu w liceum – tym razem w zupełnie innej roli. Pewnie nie miały wpływu na taki scenariusz miało również to, że moja mama i siostra są nauczycielkami. A czy żałuję? Nie, choć jednocześnie nie traktuję tego zawodu jako powołania, misji. Jestem nauczycielem. Po prostu. I staram się wykonywać swoją pracę możliwie dobrze. Zresztą, wiesz, to był stres – przez pierwszy rok pracy kierowało mną przede wszystkim przerażenie. Trudno było mi złapać dystans, i w tym akurat pomogła mi siostra, która z kolei – w przeciwieństwie do mnie – jest mniej impulsywna. Powoli oswajam się z sytuacją, ale to proces, który nadal – trwa.

Czy posiada Sorka jakieś autorytety, bazuje na czymś doświadczeniu?

Uciekam od słów takich jak „wzorzec”, „autorytet”. Wątpię, czy ktokolwiek może występować w roli doskonałego

przykładu, przecież każdy z nas jest tylko człowiekiem. W każdym razie autorytetów, takich życiowych, brak. W tym aspekcie działam wybiórczo – patrzę na ludzi, uważnie obserwuję i ewentualnie przejmuję to, co do mnie trafia. Jakiegoś rodzaju inspiracji – tak to ujmijmy – mogę szukać wśród tragicznych literatów – zawsze fascynowali mnie Wójcicki, Stachura, Poświatowska. Z prozaików szczególnie znaczenie ma dla mnie Hłasko, Kundera czy Kosiński. Oczywiście nie pochwalam wszystkich ich wyborów życiowych, chodzi o to, że wyznawane przez nich wartości, rozważania, prawdy o świecie mocno na mnie oddziałują: zgadzam się z nimi albo – polemizuję.

A w sferze szkolnej, nauczycielskiej?

Hm... Nie, raczej nie. W pamięci utkwił mi co prawda wspomniany wcześniej polonista ze szkoły podstawowej, niektóre scenki z życia licealnego, ale wiesz, autorytet to ktoś, komu ufasz całkowicie. A ja aż tak ufna nie jestem. Mimo wszystko, zaczynając pracę, wiedziałam, że chcę, by moje relacje z uczniami były w miarę możliwości partnerskie. Naturalnie istnieją ograniczenia, wynikające chociażby z pełnionej przez mnie funkcji czy wieku, świat młodzieży rządzi się swoimi prawami – możecie mnie na chwilę tutaj zaprosić, ale nie należę do niego permanentnie. Należy więc znaleźć złoty środek – uczniowie powinni rozsądnie korzystać z wolności, a ja z kolei wystrzegam się nad-

miernego liberalizmu. Jest to czasem trudne, ale nie – niemożliwe.

Idealny nauczyciel...

... na pewno musi posiadać wiedzę oraz umiejętność jej przekazywania. Myślę, że liczy się też dystans do uczniów, do zawodu – aby uniknąć zgorzknienia czy frustracji. Wskazane (ale niekoniecznie do zrealizowania) jest, aby każdego z uczniów traktować podmiotowo. Liczy się sprawiedliwość, obiektywizm, brak uprzedzeń. I – co dla mnie jest istotne w ogóle – poczucie humoru. Ale, wiecie, ideałów podobno nie ma.

Co jest najtrudniejsze dla Sor-ki w pracy nauczyciela? Z czym musiała się Sorka na początku zmierzyć? Jakie miała lub ma Sorka obawy związane ze szkołą?

Kiedyś paraliżowała mnie myśl o buncie. Akurat Wy wiecie, o co chodzi... Zawsze też zależało mi na stworzeniu nie tyle oficjalnych stosunków z uczniami, ale zwyczajnych, międzyludzkich relacji i martwiłam się, czy uda się to osiągnąć. Dążyłam też do tego, żeby Wasza wiedza była nie tylko książkowa, chciałam i nadal chcę, żebyście z literaturą żyli na co dzień, przeżywali ją. Oczywiście męczą mnie też takie standardowe dylematy: Czy potrafię uczyć? Czy stosuję słuszne metody? Czy moje wybory są rzeczywiście optymalne? Poza tym każdy uczeń wymaga podmiotowego traktowania i taka ilość indywidualności wokół potrafi zmęczyć. Praca nauczyciela wiąże się w

pewnych momentach z wampiryzmem, a ja nie chcę skończyć jak Siłaczka – zdarza się, że wychodzę z jakąś inicjatywą, ale to uczeń musi pokazać, że chce ze mną rozmawiać, pracować. Problemem na początku mojej pracy była też nieśmiałość, z którą musiałam walczyć. Zresztą nadal walczę. Ponadto mam dość żywiołową naturę, czasami działam zbyt emocjonalnie. Moja mama była zaskoczona, że nie mam w szałie garsonki na szkolne uroczystości... No tak, ta garsonka stała się potem pewną metaforą. Jej brak mnie pośrednio charakteryzuje, a – myślę sobie – może warto byłoby ją w końcu kupić.

Jakie czynniki powodują u Sorki zwątpienie, znużenie pracą?

Deszcz. Mocno przeżywam niektóre sytuacje, co też męczy. Obawa, że czegoś się podjęłam i najzwyczajniej – nie podołam zadaniu. Biurokracja. Poza tym... Hm... Jeśli chodzi o Was – nie lubię pretensjonalnych min: „Ale dlaczego ja? Ale po co? Ale...”. Nie lubię pytań (moich) rzucanych w próżnię, niechęci do jakiegokolwiek działania, krytykancstwa. Wychodzę z prostego założenia – najpierw poznaj to, co krytykujesz. Wtedy dopiero możesz dyskutować i być równorzędnym partnerem. W innym wypadku – jesteś tylko malkontentem. A to za mało, by zrobić wrażenie. Męczy też to, że jakoś ciężko się od pracy uwolnić. Ciężko wyłączyć – myślenie. Ale więcej od tych,

które nużą, jest jednak czynników motywujących.

Na przykład?

Przede wszystkim – ludzie, których spotykam, z którymi pracuję, wchodzę w bliższe relacje.

Jak wpłynęła na Sorkę praca nauczyciela, co się w Sorcie zmieniło?

Ten zawód uczy przede wszystkim poczucia odpowiedzialności za drugiego człowieka. Wcześniej odpowiadałam sama przed sobą i tylko za siebie. Szkoła to zmieniła, muszę i chcę mieć na uwadze Wasze wyczulenie na słowa, pamiętać o poszanowaniu prywatności, indywidualności. Praca nauczyciela sprawiła, że mocniej koncentruję się na innych. Poznają problemy młodych ludzi i wiem, że są one równorzędne z troskami dorosłych – uczy to dystansu do siebie, do świata wokół. Nauczanie uporządkowało też w jakimś stopniu chaos, który czasem mnie określa. I jednocześnie uświadomiło upływ czasu.

Jak może Sorca podsumować rolę wychowawcy? Ma Sorca poczucie spełnionej misji? Co było momentem przełomowym w Waszych relacjach? Może przechowuje Sorca jakieś szczególnie ciepłe wspomnienie?

Jakoś niespecjalnie chciałam być wychowawcą, zresztą moja klasa chyba od początku to podejrzewała... Momentem przełomowym była pierwsza wycieczka klasowa, okazało się,

że nie tylko możemy ze sobą współpracować, ale też mieć do siebie zaufanie i fajnie spędzić ze sobą czas. Niewątpliwym plusem mojej klasy była jakaś taka tolerancja, zrozumienie i takt. Wychowawca to nie funkcjonariusz, miałam do klasy zaufanie, szanowaliśmy wzajemnie swoją prywatność, jednak o misji nie ma mowy – misja kojarzy mi się z mesjanizmem, poświęceniem, metafizyką, a my mówimy – o prozie życia, która nie musi być misją, by mieć urok. Wolę prozę od liryzmu. A jakieś szczególne wspomnienie? Hm, moja klasa miała specyficzne poczucie humoru. Kiedyś na zajęciach opowiadałam o Białoszewskim – że preferował postawę leżącą, bo rzekomo był wtedy w najlepszej formie intelektualnej. No cóż, kolejnego dnia wszyscy przynieśli karimaty i zrobili sobie leżakowanie. Czy zadziałało? Trudno ocenić. A najcieplej wspominam – ostatnią wigilię.

Utrzymuje Sorca kontakty z dawnymi uczniami?

Myślę, że najlepszy kontakt – choć mogę się mylić, bo to jednak powinni ocenić sami uczniowie – miałam z moją klasą wychowawczą i Wami, ubiegłorocznymi gimnazjalistami. Relacje z maturzystami wyjaśni czas, większość z Was widuję na co dzień, więc... Jeśli chodzi o pozostałe klasy, to z kilkoma osobami – tak, ale nasze kontakty opierały się jednak głównie na szkole, więc nie ma mowy o jakichś szczególnie bliskich relacjach. Kiedy

widzimy się na ulicy, niektórzy zatrzymują się, by zapytać, co słyhać. Bardzo sympatycznie, gdy ktoś pamięta, opowiada, co się u niego dzieje. Jest kilka osób, które ten kontakt podtrzymują i mam nadzieję – kilka jeszcze będzie.

Która dziedzina języka polskiego najbardziej Sorkę interesuje, w czym się Sorka najlepiej odnajduje?

Nie darzę szczególną sympatią gramatyki, chociaż naprawdę dobrze się bawię, układając ćwiczenia ze składni, kiedy gimnazjaliści wymyślają absurdalne zdania. Moją ukochaną epoką literacką jest romantyzm – upadłe dzisiaj wzorce, postawy uznawane za szaleńcze. Nie jestem naiwna, wiem, że romantyczne poświęcenie, niezachwiana wiara w ideały, ale także brak pragmatyzmu, zdrowego osądu przyczyniały się także do klęsk, że tych zasad nie sposób przełożyć na czasy współczesne. Romantyzm i jego światopogląd stanowi jednak dla mnie piękny i godny podziwu relikwitu przeszłości. Ogromnie cenię literaturę wojenną, która stara się oddać prawdę o człowieku, jego – w kontekście historii – porażce, ale też współczesną. Moim zdaniem, choć to truizm, literatura uczy życia, dlatego też drażni mnie przedkładanie formy nad treść, pisanie nie powinno mieć na celu wzbudzenia jedynie kontrowersji. Tak sobie myślę – bądź ekscentryczny, niesztampowy, wymykaj się stereotypom. W porządku. Ale miej też coś do powiedzenia. W zwyczajnym ży-

ciu chyba też tak to powinno działać.

Co Sorka sądzi o współczesnym nauczaniu języka polskiego?

Nie jestem ekspertem, ale wiem jedno – literatura powinna być (też) przyjemnością. Obok konkretnej wiedzy zajęcia powinny budzić, przynajmniej u części uczniów, zainteresowanie. Chciałabym uniknąć syndromu Miauczyńskiego. Często sprawdzamy wiedzę/umiejętności według klucza, nie mamy możliwości docenić inwencji ucznia. Wiem, że ma to służyć wypracowaniu logicznego myślenia, ale przecież w życiu liczy się nie tylko logika, istotną wartość ma też chaos. Żałuję, że na zajęciach nie ma czasu na wprowadzenie książek zgodnych z Waszymi zainteresowaniami. Lista lektur powinna być zmieniona, to pewne, ale zmieniona mądrze, bo klasyka też ma ogromną wartość i nie należy z niej rezygnować. Ale w sumie... tak sobie myślę, ratuje nas dystans i poczucie humoru właśnie. Nie musi przecież być nudno.

Jakie zachowania uważa Sorka za niedopuszczalne w szkole? Co razi Sorkę w dzisiejszej młodzieży?

Czuję zażenowanie, kiedy nastolatki okazują brak kultury czy taktu. Irytuje mnie manifestowanie pewnych postaw, widzę w tym sztuczność, teatralność. Ale jeszcze bardziej drażni mnie, gdy nie docenicie starań Waszych kolegów – mam na myśli chociażby zachowanie podczas apeli czy organizowanych w szkole spo-

tkań. Możesz się nudzić, ok. Może Cię to nie interesować, też ok. Ale jeśli jakieś wydarzenie jeszcze się nie zaczęło, a Ty już zakładasz słuchawki na uszy albo czytasz namiętnie książkę, albo jesz kanapkę... Są pewne normy, których łamanie mnie osobiście boli. I boli mnie też to, że muszę zwrócić uwagę, czego osobiście nie lubię. Mnie się jakoś – naiwnie chyba – wydaje, że jak się ma naście lat, to zna się granice impertynencji. Że uwagi naprawdę zwracać – nie trzeba. Bo wiesz, że masz się w określony sposób zachować i już. Część, znikoma na szczęście, nie wie.

Widzi Sorka zmiany w nowym pokoleniu?

Dla mnie to inny świat – z liceum pamiętam glany, powyciągane swetry oraz fascynację Nirvaną, The Doors czy Dżemem. Obecnie ogromną rolę w kształtowaniu poglądów odgrywają media, które promują dziwne dla mnie postawy. Zaczynacie wierzyć, że nauka, wiedza nie warunkują późniejszych sukcesów. Z jednej strony fakt – czasem ogromnie liczy się szczęście, fart, z drugiej jednak wykształcenie, czytanie jest ważne. Stajecie się chyba coraz bardziej samodzielni, a jednocześnie samotni. Zbyt szybko dorastacie. Pomimo dużej odwagi w spełnianiu swoich marzeń, często okazujecie brak wycucia, taktu. A jednocześnie – przyglądając się Wam – widzę mnóstwo fantastycznych osób, którym coś się chce, które są życzliwe, które w rozmowie są nie tyle uczniami, co – partnerami. Dlatego nie

wiem, jaka jest dzisiejsza młodzież. Wiem, jaka nie chcę, by była – bezrefleksyjna.

Ładnie poproszono mnie, bym podsumował tekst. Nie sądzisz więc, Drogi Czytelniku, że wywiad ten, abstrahując od tego,

że przeprowadzony bez profesjonalnego przygotowania, jest naprawdę skarbnicą wiedzy na temat sorki D.? Jednakże prosilibyśmy, abyś Ty, Drogi Czytelniku, nie wykorzystywał powyższej wiedzy do jakichś niecnych form wydobywania informacji :)

Ministrant – obalając stereotyp(y)

Sytuacja 1.

- Kim według Ciebie jest ministrant?

- (śmiech)

Sytuacja 2.

- Kim według Ciebie jest ministrant?

- Wiesz co, może później, spieszę się. (zatrzymuje się przy kawomacie i bierze herbatę)

Sytuacja 3.

- Kim według Ciebie jest ministrant?

- Jakies małe zdewociałe dziecko. Idzie na mszę, po stoi trochę przy ołtarzu i pójdzie do domu. Jeżeli jest starszy, to zazwyczaj nudziarz.

- Znasz jakiegoś ministranta?

- Owszem.

- Uważasz go za nudziarza?

- Eee... (zawstydzona odchodzi)

Ministrant. Nudziarz, dewot, „święty”, nadgorliwy, świętoszek, fanatyk. Brak tema-

tów do rozmowy. Brak czasu wolnego. Nie wychodzi. Siedzi w kościele i się modli. Sługus księdza. Koleś w firanice. Zagubiony chłopak bez znajomych. Nie ma dziewczyny. Nikt go nie lubi. Jest jakiś dziwny.

Tak wygląda stereotypowy obraz ministranta krążący w obecnym społeczeństwie szkolnym. Zapewne podczas czytania któregoś z powyższych określeń pomyślałeś sobie „ale przecież to nieprawda”. Wiedziałem. Faktycznie, kiedy głębiej przyjrzymy się naszym znajomym, którzy są ministrantami (tak, warto się tego dowiedzieć), odnajdujemy w nich normalne osoby. Wystarczy spojrzeć na osoby uczęszczające do naszej szkoły. Część z nich, choć niewielka, jest ministrantami.

Podczas rozmowy z kilkoma ministrantami z naszej szkoły odkryłem, że nie wstydzą się oni swojej obecności w gronie ministrantów. Co więcej, uważają to za coś, z czego mogą być dumni. Na potwier-

dzenie dodam, że na pytanie, czy zgadzają się na użycie swoich imion w tym artykule, odpowiedzieli „tak” bez żadnego wahania. Każdy z nich jest ministrantem od bardzo dawna. Dziesięć lat to minimum w tej grupie. Czy to długo? Na pewno jest to całkiem spory kawałek życia.

(Au – autor); w rozmowie uczestniczyli: Janusz – J, Andrzej – A, Piotr – P oraz Pan Przemek – PP (Praktykant, który dawniej uczęszczał do naszej szkoły).

Au: Czy nie myślałeś o rezygnacji? Czy nie uważasz, że „wyrośłeś” z tego?

J.: Nie. Lubię być w centrum uwagi i wykonywać różne czynności.

A.: Z tego się nie wyrasta.

P.: Dzięki temu lepiej rozumiem, co dzieje się wokół mnie na mszy.

PP.: Czuję się potrzebny, więc ta rezygnacja jest jeszcze odległa.

Felietony

Au: Co odnajdujesz w byciu ministrantem?

J.: Wspaniała atmosfera. Poza tym lubię relacje pomiędzy nami a księżmi (śmiech).

A.: Przede wszystkim spokój i ukojenie. Nie tylko w byciu ministrantem, ale również w całej wierze. Ministrantura bezpośrednio zbliża nas do cudu Eucharystii.

P.: Łatwiej jest mi zrozumieć pewne rzeczy związane z religią. Zwłaszcza, kiedy zbliżają się święta, np. Triduum Paschalne. Inaczej przeżywa się to, będąc ministrantem. Zdecydowanie czuję się wtedy lepiej.

PP.: Liturgia jest częścią mojego życia, która mnie bardzo pasjonuje i pociąga. (...) Jeżeli liturgia przebiega według planu, czuję się zadowolony, spełniony, spokojny. Ale gdy coś dzieje się nie tak, jak powinno, dostaję „białej gorączki”. Oczywiście są też chwile stresu. Łatwiej jest się skupić, siedząc w ławce na mszy świętej. Przy ołtarzu człowiek czuje się jak na świeczniku.

Au: Co czujesz, kiedy idziesz na mszę, jesteś obecny przy ołtarzu, a ludzie obecni w kościele na Ciebie patrzą?

J.: Odczuwam satysfakcję, że robię coś, czego inni nie mogą robić. Czuję się, jakbym był w elitarnej grupie.

A.: Jeśli mi coś nie wyjdzie, zawstydzę się nieco. Jednak jestem zadowolony, że mogę bezpośrednio służyć i być blisko ołtarza. Czuję również dumę, że mogę przewyciężyć opinię innych i sam decyduję o tym, co mogę robić.

P.: Nie zwracam na nich uwagi, przyzwyczaiłem się do tego.

PP.: Obecnie mi to już nie przeszkadza.

Au: Czy zastanawiasz się, co myślą inni na temat Twojej ministrantury? Czy rówieśnicy wywierają na Ciebie jakikolwiek nacisk?

J.: Mało mnie to obchodzi. Myślę, że mogą mi nawet zazdrościć. Kiedyś wywierali na mnie nacisk, teraz już to minęło. Chyba z tego wyrosłem.

A.: Ministranci są postrzegani jako dewoci. Jednak ja czuję się lepszy dlatego, że jestem ministrantem. Rówieśnicy... Kiedyś wywierali na mnie nacisk, ale teraz już to akceptują. Jeden pije na umór w czasie wolnym, inny woli zająć się ministranturą.

P.: Jestem ministrantem, jest mi z tym dobrze, nie zwracam uwagi na to, co myślą inni.

PP.: Dochodzą do mnie głosy, że powinienem już odstąpić (...). Osoby, które mnie znają, wiedzą, że liturgia jest wielką częścią mojego

życia. Jeżeli chodzi o rówieśników, to teraz, na studiach, nie poruszamy tego tematu zbyt często. Czasem się zdarza, ale z pewnością nie jest to nacisk. Pewna presja była na mnie wywierana w liceum. Ja szedłem na rekolekcje, inni szli na piwo. Jednak im dłużej trwałem w swoim przekonaniu, tym bardziej ludzie mnie szanowali.

Jak widać, żaden z nich nie myśli o rezygnacji. Zostali nakłonieni do zostania ministrantem przez bliskie im osoby. Brata, ojca, babcię. Jednak nie żałują tego. Twierdzą, że miło spędzają czas, znajdując się w grupie ministrantów. Bycie ministrantem rozluźnia ich, traktują to jako formę spędzania wolnego czasu. I nie jest to z pewnością czas stracony. Dla nich to naturalne, że w niedzielę idą na mszę w celu służenia przy ołtarzu. Z pewnością lepiej mogą zrozumieć całą liturgię, jednak czasem ciężko przeżyć im w skupieniu mszę świętą. Cały czas coś się dzieje, muszą uważać, aby jakaś czynność nie została wykonana w niewłaściwym momencie, organizować i dopiąć na ostatni guzik wszystkie uroczystości. To od nich, w dużej mierze, zależy to, jak dana uroczystość wypadnie. A jest to odpowiedzialność niemała.

Pomimo stereotypowego

Felietony

odbioru przez społeczeństwo do ministrantów, antypatii, konwulsji wywoływanych słowem „ministrant”, są oni jednak normalnymi osobami. Istnieją, należą do naszego społeczeństwa, nie są wyalienowanymi wyrzutkami, lecz znajomymi, kolegami, przyjaciółmi. Pełnią różnorodne funkcje, wchodzą w różne relacje – tak jak my. Chodzą po ulicach, nie są zatrzymywani ani zaczepiani przez „dresów” tudzież „mafiosów”, nie są wykorzystywani przez księży, uczą się,

pracują, mają życie prywatne, różne hobby i zainteresowania. Są ludźmi. Jeżeli ich tak przestrzegasz, to dobrze, jeżeli nie, zastanów się – czy dojrzałeś już do tego, żeby wyjąć karteczkę „ministrant” z szufladki „frajerzy”. To tylko kwestia czasu.

- Mateusz Bajkowski

Szybki wywiad z Maciejem Stawickim. Maturzystą i ministrantem.

Maciej Stawicki, tegoroczny absolwent liceum, maturzysta, ministrant. Przedstawiciel pokolenia (!). W każdym razie – zapraszamy na rozmowę o (...).

Od ilu lat jesteś ministrantem i czym uwarunkowana była Twoja decyzja?

Od 9 lat, chciałem spróbować czegoś nowego w swoim życiu, szukałem zajęcia, które pozwoli mi się oderwać od codzienności. Zachęciła mnie również możliwość rozwoju na wielu płaszczyznach (konkretnie tej futbolowej) – można było się rozwijać nie tylko na polu wiary, lecz także relacji z innymi ludźmi.

Jak zareagowali znajomi?

Decyzję o ministranturze podjęło kilku z nas, więc nie czułem się jakoś osamotniony. Na pierwsze spotkanie wyruszyła z naszej szkoły dosyć spora grupa ludzi.

Co Ci daje bycie ministrantem?

Pozwoliło mi to na poznanie wielu ciekawych osób, poza tym czuję się wyjątkowo, będąc tak blisko ołtarza. Zmieniłem się w ciągu tych lat, stałem się bardziej otwarty na ludzi, na nowe wyzwania. Dzięki temu, że jestem ministrantem, dowiedziałem się, co to znaczy odpowiedzialność. Uświadomiłem sobie, że nawet najmniejsza rola, zadanie, które masz wykonać, jest nie mniej ważne, a może nawet ważniej-

sze niż inne, bo zależy właśnie od Ciebie. Chodzi mi tutaj np. o pełnienie funkcji podczas uroczystości kościelnych. Poza tym bycie ministrantem sprawiło, że dojrzałem jako człowiek i jako chrześcijanin – patrzę na pewne rzeczy z innej perspektywy... Patrzę i – widzę.

Co konkretnie?

Widzę na przykład niespójność pomiędzy zachowaniem – części oczywiście – ludzi w kościele i poza nim, widzę pewną hipokryzję. Zmienia się sposób oceniania, kryteria w tej ocenie – zwracam uwagę na inne rzeczy. Staram się patrzeć na ludzi z pewnym dystansem, nie oceniać ich tylko po pozorach, chociaż czasami nie potrafię

Felietomy

tego uniknąć. Wiem też, że nie istnieją w życiu sytuacje, z których nie można znaleźć wyjścia, nawet jeśli jesteśmy przekonani, że tak jest. Ale może to też kwestia tego, że jestem po prostu starszy, dojrzałszy.

Bycie ministrantem...

... niweluje poczucie samotności, strach – nawet gdy jest bardzo źle. Pozwala poczuć się kimś wyjątkowym, pozwala na realizację siebie samego jako człowieka, chrześcijanina.

Niedługo zaczynasz dorosłe życie. Zamierzasz być nadal ministrantem?

Jako student, o ile zostaną zwolniony z uczelni oczywiście, będę obecny na tych najważniejszych uroczystościach. Dlaczego? Bo to przede wszystkim świetna okazja do spotkania z ludźmi, z którymi zresztą spędziłem sporo czasu w ciągu ubiegłych lat. Poza

tym bycie ministrantem to nie tylko służba przy ołtarzu, to również sposób postępowania, którego nie chciałbym zmieniać.

Mógłbyś nazwać te znajomości przyjaźnią?

Myślę, że nie wszystkie, ale rzeczywiście, wspólnie spędzony czas pozwolił się lepiej poznać, to oczywiście.

Zdefiniuj przyjaźń.

Nigdy się nad tym nie zastanawiałem, ale... hm... Przyjaźń to świadomość, że jest wspólny cel, do którego dążymy, to poczucie, że nie jesteśmy sami, że są ludzie, którzy myślą podobnie jak my.

Wchodzisz w nowy etap życia. Z czym kojarzy Ci się dorosłość? Czujesz się dorosły?

Dorosłość kojarzy mi się przede wszystkim z odpowiedzialnością. I nie, jeszcze nie

czuję się odpowiedzialny. Zresztą w nawet najbardziej dojrzałym człowieku jest coś z dziecka. We mnie też.

Matura to wielki stres?

Tak ważnym wydarzeniem, jakim jest matura, towarzyszy duża dawka emocji. Muszę przyznać, że czasami ciężko sobie z nimi poradzić. Ale wtedy – a propos przyjaźni – uświadamiam sobie, że przyjaciele są rzeczywiście niezwykle pomocni, ich obecność – ważna. Dają potrzebne wsparcie.

A jak wyobrażasz sobie przyszłość?

To zależy od tego, czy uda mi się dostać na wyśnione studia. Jeśli tak się stanie, jestem przygotowany na ciężką pracę po to, by spełnić swoje marzenia.

Dziękuję za rozmowę (trudną acz owocną).

Również dziękuję.

O głupocie

Albert Einstein powiedział kiedyś: „Tylko dwie rzeczy są nieskończone: wszechświat oraz ludzka głupota, choć nie jestem pewien co do tej pierwszej”. Częściej możemy się jednak spotkać ze stwierdzeniem, które sami stosujemy bądź słyszymy je od innych. Mianowicie, że „głupota ludzka nie zna granic”. Ogromna ilość takich przysłów, a także

mnożenie samej głupoty w dzisiejszym świecie, skłoniła mnie do głębszego rozważenia tej kwestii.

Bo czym jest właściwie głupota? Według encyklopedii PWN to „niedostatek rozumu, który polega na braku bystrości, nieumiejętności rozpoznawania istoty rzeczy, wychwytywania związków między przyczyną i skutkiem, kojarzenia i

przewidywania”. Moja definicja głupoty jest podobna natomiast do definicji zła, które jest po prostu zaprzeczeniem, brakiem dobra. Opierając się na tej zasadzie przeciwstawności, można zatem stwierdzić, że głupota jest brakiem mądrości. Taki wniosek nie jest może odkrywczym i na pewno wpadłby na niego każdy głupi (jeśli Ty nie wpadłeś, to do-

brze to o Tobie świadczy), ale idźmy dalej. Teraz należy odpowiedzieć na pytanie, czym jest mądrość i skąd pochodzi. Najprościej można powiedzieć, że to umiejętność korzystania z wiedzy i doświadczenia. Gdzie kończy się wiedza, tam zaczyna się głupota. Wyjaśnienie pochodzenia mądrości czy wiedzy również jest proste, przynajmniej tak się wydaje. Dane zostały nam przez Boga, gdyż On jest źródłem wszystkiego, a stwarzając świat i człowieka, tylko On posiadał wiedzę pełną. Oczywiście wiele rzeczy człowiek może poznać sam, przecież buduje się ogromne teleskopy, dokonuje się doświadczeń w celu zbadania

materii, ale jak niektórzy twierdzą – wszystkiego poznać się nie da. Oprócz poznania mamy jeszcze objawienie – czyli tę część wiedzy o wszystkim, którą Stwórca chciał nam przekazać, a do której pewnie nie doszlibyśmy sami. Z objawieniem jest jednak tak, że aby je uznać, należy uznać Stwórcę, co dla niektórych może być poważnym problemem. A zatem, jeśli głupota jest brakiem danej od Boga mądrości i wiedzy, to można postawić taką tezę:

głupota jest przejawem bezbożności.

Potwierdzenie tej myśli możemy znaleźć u samych źródeł. W Biblii, konkretnie

w Księdze Psalmów (psalm 14, wers 1), jest napisane: „Mówi głupiec w swoim sercu: Nie ma Boga!”.

Jeśli więc chcemy ochronić się przed głupotą, należy pogłębiać wiarę, polegającą na obcowaniu z Bogiem. Takie myślenie wyłącznie pod względem religijnym, zakładając postępującą laicyzację społeczeństwa, może wydawać się słuszne, jednak obiektywnie rzecz biorąc, nie do końca prawdziwe. Zdaję sobie sprawę, że jest naciągane, ale to może dlatego, że próbuję sobie uświadomić, że nie jestem głupi.

- Łukasz Gronau

Z życia wzięte

Jako wybitny analityk i obserwator środowiska, w którym mam niewątpliwą przyjemność przybywać prawie na co dzień, co wymaga ode mnie wiele sił i cierpliwości, zauważyłem pewną niebezpieczną tendencję. Ową tendencję nazwałbym nawet chorobą, chorobą, która tkwi tak głęboko w nas, że już prawie nam nie przeszkadza. Choroba jako choroba może nazwana być

cywilizacyjną, gdyż dotyczy ona całego społeczeństwa. A z tego rodzaju dolegliwościami jak jest, wie pewnie każdy. Teraz zalecałbym w głąb siebie wejrzenie i dostrzeżenie tego, że mam rację. Choroba ta to NIECHCEMISIZM. Wielu z was nie uznałoby tego za dolegliwość, ale... Niestety nią jest. Zaburza ona pracę, obniża możliwości, prowadzi do kataklizmów wręcz. Jest zagrożeniem dla ludzkości niewątpli-

wym i jest jeden problem. A o co chodzi? Jak nie wiadomo, o co chodzi, to na pewno chodzi o jedno albo o drugie, takie życie. Tym razem chodzi o pieniądze. W budżecie naszego zacnego, piastowskiego, a jakże, kraju zabrakłoby pieniędzy na pokrycie kosztów leczenia, które może najwyższe by nie były, ale leczeniu najprawdopodobniej poddałoby się 95% potomków Mieszka I – ojca narodu polskiego, a pozostałym

Felietony



Czyżby Mariusz jednak „tanio skórę sprzedał”?

nie chciałoby się. W kręgu, w którym można spotkać współczesnych filozofów, utarło się już pewne sformułowanie – „gdyby mi się chciało, tak jak mi się nie chce”. Los tak chciał, że jednak się nie chce i co z tym zrobić? Jak z tym walczyć? Co zrobić, żeby wywołać wartościowe pospolite ruszenie i nie dopuścić do zagarnięcia ziem polskich przez Szwedów? Ekhem. Przepraszam, tak, wiem, poniosło mnie. A dlaczego to? Chyba mogę się tym podzielić. Tym razem moim natchnieniem stał się „Potop”. Polecać nie muszę, bo i tak przyjemność obcowania z tą książką przypadnie lub przypadła, lub przypada każdemu z nas. I powiadam wam bracia,

społeczności szkolna, czytajcie. Pokuszę się nawet o garstkę rymu. Czytajcie, czytajcie i tanio skóry nie sprzedajcie. Idealnym przykładem męstwa i polskości z krwi i kości jest... ach, buduję napięcie. To może być tylko on, jedyny w swoim rodzaju, niepowtarzalny PUDZIAN. Niczym Zagłoba walczy o swoją skórę i nigdy tanio jej nie sprzeda, co zawsze powtarza. Zaraz, zaraz. Chyba nie o tym miałem pisać. Wracam do głównego wątku. Wielu zastanawia się, jak

z tym walczyć i czy się da. Ja odpowiadam – a co się ma nie dać! Na koń i do walki! Ale teraz – w jaki sposób? Tak, tak, dobre pytanie. A więc: wiem, ale nie powiem. Bo nie ma lekko, trzeba walczyć w obecnych czasach o swoje, bo z każdej strony może czaić się zdrada, nawet ze strony kogoś, w kogo się bardzo wierzy (czyt. Radziwiłła). Radzę użyć siły mózgu, gdyż w niektórych wypadkach może okazać się ona nieposkromiona i – co może wydawać się mało prawdopodobne – może się zachcieć. Krzysiu wie, bo duży chłop jest i może. Nawet kiedy do pożaru trzeba iść, to pomoże i będzie gasił, nasz strażak Sam. Jemu chce się zawsze! Takich rycerzy oj-

czyźnie potrzeba! A czy walka się opłaca? Radzę zapytać Krzysia. Dziękuję, koniec pisania, dobranoc.

- Mateusz Gerasik

Ała Pugaczowa

Ała Borisowna Pugaczowa urodziła się 15 kwietnia 1949 roku w Moskwie. Swą działalność artystyczną zaczęła w 1975 roku, gdzie otrzymała Grand Prix Międzynarodowego Festiwalu Piosenki „Złoty Orfeusz” w Słonecznym Brzegu – prestiżowego socjalistycznego festiwalu. Warto zaznaczyć, że owa piosenkarka dysponuje głosem o rozpiętości trzech oktaw! Jej pierwszy wyżej wymieniony sukces stworzył jej drogę do kariery i nagrania pierwszej płyty winylowej, która stała się wielkim przebojem w ówczesnym ZSRR. Piosenkarka zaczęła pojawiać się w telewizji, a jej piosenki były grane w radiu. Singel „Ała Pugaczowa” sprzedano w nakładzie 15 milionów płyt. W latach 80. XX wieku poświęciła się pracy kompozytorskiej, tworząc wiele piosenek, natomiast w późniejszej swej twórczości zaczęła komponować na styl rockowy. Reprezentowała Rosję na wielu imprezach światowych, m.in. podczas Euro-

wizji w 1997 roku. Łączny nakład jej płyt osiągnął



250 milionów egzemplarzy, więc można porównać ją z takimi wykonawcami jak: ABBA czy Elivis Presley. Piosenkarka znana jest z bardzo wyrafinowanego, jak i pełnego przepychu życia. Ma za sobą cztery śluby i rozwody oraz kilkanaście operacji plastycznych. Założyła własną stację radiową. Produkuje perfumy, buty i odzież – co stawia ją w czołowie najbogatszych Rosjan

- Rafał Szymański.

Królewskie atrybuty

Jest 21 września 1947 roku. W jednym ze szpitali w Portland na świat przychodzi Stephen Edwin King. Nikt jeszcze wtedy nie wie, że ten pulchny noworodek stanie się kiedyś jednym z najpopularniejszych pisarzy na świecie. Stephen King do tej pory sprzedał już około 350 milionów egzemplarzy swoich książek. Jeśli liczyć wszystkie komiksy, zbiory opowiadań, czy powieści wydane pod fikcyjnym nazwiskiem, Stephen King wydał już w swoim życiu 72 książki. A to prawdopodobnie jeszcze nie koniec. Jednak zaczynajmy od początku...

Stephen King zaczął pisać bardzo wcześnie. Swoje pierwsze opowiadanie napisał mając 13 lat, jednak nie znalazło ono poparcia u wydawców i nie zostało opublikowane. Młody King nie zraził się niepowodzeniem i pisał dalej. Pierwszym jego opublikowanym opowiadaniem było *W półświecie grozy*. King dorastał i ciągle pisał nowe opowiadania. Jego pierwszym, znanym szerszej publiczności dziełem jest *Carrie* – opowieść o dziewczynie obdarzonej paranormalnymi zdolnościami. Książka wydana w 1974 roku szybko stała się bestsellerem.

Jeśli już wkraczamy w lata świetności Kinga, to może warto by wtajemniczyć Was w gatunek, z jakim zmagają się ten pisarz. King tworzy głównie

horror i thriller. Wyjątkiem od tego jest np. cykl o Rolandzie Deschain z tytułowany *Mroczna Wieża* lub książka pod tytułem *Jak pisać. Pamiętnik rzemieślnika*.

Na następne sukcesy King nie musiał czekać długo. Rok później wydane zostało *Miasteczko Salem*, natomiast w roku 1977 światło dzienne ujrzęło *Łsnienie*. Myślę, że wszyscy kojarzą ten tytuł, jeśli nie z książki, to z filmu z Jackem Nicholsonem w roli głównej. Wszystkie następne książki Kinga cieszyły się dużą popularnością.

W roku 1982 wydana zostaje pierwsza książka z cyklu *Mroczna Wieża*. O tej serii chciałbym się rozpisać trochę więcej. Wydanie pierwszego i ostatniego tomu sagi dzieła aż 24 lata. King nie ukrywał, że dokończenie *Mrocznej Wieży*

było dla niego trudne. Według mnie cykl ten stanowi zwieńczenie jego kariery. Pomimo że książki odstają trochę od tego, do czego przyzwyczajają Kinga, to nie można ich uważać za niepowodzenie. Seria *Mroczna Wieża* opowiada o Rolandzie Deschain, ostatnim rewolwerowcu, którego celem jest dotarcie do, tytułowej zresztą, *Mrocznej Wieży*. W książkach miesza się kilka światów, w tym ten nasz, uważany za prawdziwy, realny, jak i świat Rolanda, który w powieści jest światem głównym. King świetnie radzi sobie z przeplataniem dwóch, a czasem i więcej płaszczyzn. Jest to saga naprawdę warta polecenia.

Innym dziełem tego autora wartym przybliżenia jest książka *Jak pisać. Pamiętnik Rzemieślnika*. Stephen King podsumowuje w niej swój styl pisania. Opisuje, jak powsta-





rzem”

Podoba mi się też jego definicja talentu pisarskiego: „Jeśli piszesz coś, za co ktoś daje ci czek, jeśli pomyślnie pieniędzysz czek i płacisz tymi pieniędzmi rachunek za prąd, to można powiedzieć, że jesteś utalentowany”

Tak więc mimo że Kinga pisarzem

wały niektóre książki. Mówi, że dobra powieść nie może powstać całkowicie świadomie, ale też nie może być napisana od ręki. Tutaj przykładem może być właśnie cykl *Mroczna Wieża*. Pisarz zawsze powtarzał, że nigdy nie wiedział, jak skończy się ostatni tom, a czas, jaki zajęło Kingowi napisanie wszystkich tomów, mówi sam za siebie.

Pisarz w swoich książkach zawiera wiele odniesień do folkloru i kultury amerykańskiej, potrafi wydobyć z tego mroczne strony i na tym opiera swoje powieści. Częstymi tematami w jego twórczości są: zbrodnie, wojny, przemoc, zdolności paranormalne i rasizm. King w książce *Jak pisać. Pamiętnik rzemieślnika* podaje bardzo prosty przepis na zostanie dobrym pisarzem: „Czytaj cztery godziny dziennie i pisz cztery godziny dziennie. Jeśli nie masz na to wystarczająco dużo czasu, to nie oczekuj, że będziesz dobrym pisa-

wszechstronnym nazwać nie można, to myślę, że każdy miłośnik literatury powinien się zaznajomić przynajmniej z jedną książką tego autora. Odpowiednia dawka grozy jeszcze nigdy nikomu nie zaszkodziła.

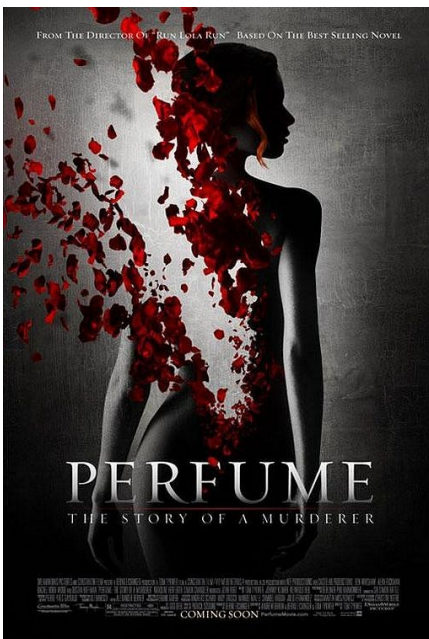
- *Krzysztof Konstantinow*

Pachnidło

"W osiemnastym stuleciu żył we Francji człowiek, którego spośród jakże licznych w tej epoce genialnych i odrażających postaci zaliczyć wypada do najbardziej genialnych i najbardziej odrażających. (...) Nazywał się Jean-Baptiste Grenouille..."

Pachnidło, Patrick Süskind

„Pachnidło” jest francusko-hiszpańskoniemieckim filmem fabularnym z 2006 roku, którego reżyserię powierzono jednemu z najciekawszych europejskich reżyserów młodego pokolenia – Tomowi Tykwerowi, znanemu z takich filmów jak *Biegnij Lola*, *biegnij* czy *Niebo*. Film powstał na podstawie powie-



ści *Pachnidło* Patricka Süskinda. Za sprzedaż praw autorskich Süskind otrzymał około 10.000.000 euro. Film kręcono m.in.

w Barcelonie, Monachium i Gironie. W głównego bohatera wcielił się debiutant Ben Whishaw, który zasłynął z roli Hamleta w londyńskim teatrze Old Vic.

Paryż od wieków fascynował. To miasto od zawsze przyciągało i skupiało najznamienitsze umysły tego świata. Od zawsze też było mozaiką kultur i kolebką wzorców kulturowych. Na przełomie dziejów, w toku historii paryskie ulice stały się tłem dla wielkich wydarzeń historycznych. Podobnie jest również z tą historią. XVIII - wieczna stolica Francji była – obok Wiednia, Londynu czy Rzymu – centralnym ośrodkiem ówczesnej Europy. Jednak mało kto zna historię Jeana Baptiste'a Grenouille'a, który idealnie pasuje do galerii paryskich znakomitości. Jego historia bierze początek właśnie w paryskiej plugawej dzielnicy portowej. Tutaj, wśród smrodu i nieczystości, przychodzi na świat istota niezwykła – obdarzony niezwykłym darem nadwrażliwego zmysłu węchu

Jean Baptiste Grenouille. Ódar wydaje się rekompensatą za warunki, w jakich przyszło mu żyć. Grenouille już od chwili narodzin musi walczyć o życie. Nie jest mu łatwo. Kolejno poznajemy jego nieszczęśliwe dzieciństwo w sierocińcu i wreszcie pracę w garbarni, która otwiera mu drogę do wspomnianego już królestwa zapachów. Grenouille zaczyna obsesyjnie pochłaniać i uczyć się na pamięć wszelkich otaczających go zapachów, co czyni go odosobnionym i samotnym w swym królestwie. Zatracony w swym świecie popełnia serię morderstw. Pozwalają mu one na uzyskanie zapachu doskonałego, zapachu, dzięki któremu mógłby uwolnić świat, gdyby tylko chciał, dzięki któremu mógłby wejść na Wersal i sprawić, by król całował jego stopy. Dzieło Jeana Baptiste'a Grenouille'a wywołuje ekstazę, której nikt nie może się oprzeć. Perfumy nie mogą zrobić tylko jednej rzeczy – nie mogą zmienić go w osobę kochającą, a zarazem kochaną, jak całą resztę ludzi. To właśnie popycha bohatera do... popełnienia dość nietypowego samobójstwa. Być może to warunki, w ja-

kich dorastał Jean Baptiste, pozbawiły go uczuć. Jest on bowiem człowiekiem niezrównoważonym moralnie, aspołecznym, który nie potrafi odnaleźć się w społeczeństwie i nie potrafi kochać. Jego jedyną miłością jest więc zapach i jemu w całości się poświęca.

Reżyser Tom Tykwer świetnie przedstawił Paryż XVIII wieku. Widzimy tętniące życiem, zapchane ulice miasta, biedotę stanowiącą znaczną część społeczeństwa. O higienie ówczesnych ludzi nawet nie wspomnę. Myślałem, że nie da się zrobić takiego filmu, Tykwer wyszedł jednak z realizacji tego projektu obronną ręką. Zatem wizualnie ekranizacja książki Süskinda jest naprawdę

wspaniała. Każdy chyba podkreśla rolę Dustina Hoffmana, który wcielił się w rolę perfumiarza – Giuseppe Baldiniego, ten niewielki wkład zaskoczył polotem i naturalnością. Miło się też słuchało głosu narratora Johna Hurta, znanego nam z filmu *Dogville*. Uderzająca jest jednak nuda pojawiająca się od czasu do czasu. Miałem wrażenie, że pewne elementy filmu są za długie i niepotrzebnie przecinają właściwą akcję.

Sumując, muszę przyznać, iż *Pachnidło* zaskoczyło mnie, przede wszystkim pod względem obrazu, który docierał do mnie bezdyskusyjnie. Wgłębiając się w historię Jeana Baptiste'a Grenouille'a, zanurzamy się

w paletę zapachów i wraz z bohaterem chłoniemy wszystko, stając się wrażliwymi na uroki tego niezwykłego świata. Film zachwyca bogactwem barw, nadając paryskim bulwarom malarzkie rysy. Obraz dopełnia delikatna muzyka, której współtwórcą jest sam reżyser. *Pachnidło* to wielkie, imponujące widowisko, niezwykła opowieść wprowadzająca nas do królestwa zapachów. Dlatego też mogę uznać, że jedna z najbardziej oczekiwanych premier nie zawiodła.

- Kasper Pawłowski

Czarny balonik

Parę tygodni temu zadałem sobie pytanie: „A czemu by nie kino australijskie?”. Odpowiedzią było niemal natychmiastowe zakupienie „Czarnego Balonika”, filmu z 2008 roku Elissy Down, reżyserki oraz współautorki scenariusza. Zasiadłem wygodnie w fotelu a następnie udałem się w trwającą 97 minut podróż.

Już od samego początku do gustu bardzo przypa-

dła mi muzyka, której autorem jest Michael Yezerski. Podobnie było ze zdjęciami Densona Bakera którymi wręcz rozkoszowałem się przez cały czas trwania seansu (kręconymi zresztą w Sydney i Richmond w Australii).

Film przedstawia nam historię Thomasa, jego brata Charciego, chorego na autyzm, oraz ich rodziców. Rodzina Mollisonów właśnie przepro-

wadziła się do nowego miasteczka, a jak to zwykle bywa, początki są trudne, co tu przejawia się w trudności w zaaklimatyzowaniu się w nowym środowisku. Jednak nastoletni bohater w niedługim czasie poznaje piękną Jackie, którą wydaje się zauroczony. Początkowo uważa, iż jego brat przez swoją chorobę stanowi przeszkodę dla niego w kontaktach międzyludzkich. Pragnie,



aby nie musiał poświęcać mu tyle czasu i uwagi. Później jednak, również trochę za sprawą Jackie, dorasta, dojrzewa emocjonalnie, zaczyna rozumieć, że: „Normalność jest względna”. Bardzo spodobała mi się jedna scena, która swą symboliką doskonale obrazowała sytuację rodziny Mollisonów – mianowicie chodzi mi o tę, w której na niebie widać unoszące się 4 baloniki, z czego 3 są czerwone oraz jeden lecący trochę wolniej – czarny, co uważam za intencję uświadomienia nam, że osoba tak chora nie jest w stanie być niezależna i aby żyć, potrzebuje pomocy ze strony najbliższych.

Film obrazuje, z jakimi problemami boryka się dojrzewający Thomas oraz jego rodzice przy opiece nad jego bratem. Mówi również o tym, jak często inność spotyka się z brakiem tolerancji lub wręcz jawną dyskryminacją ze strony otoczenia. Ukazuje także w bardzo mądry sposób, jak trudna jest miłość między braćmi, szczególnie kiedy jeden z

nich nieustannie przynosi wstyd drugiemu, tak naprawdę nie ze swojej winy. Mimo iż zakwalifikowałbym ten film jako dramat,

jest on przy tym bardzo przyjemny, okraszony grą aktorską na bardzo wysokim poziomie (nawet na długo po obejrzeniu filmu utrzymywałem, iż grający Charliego Luke Ford jest rzeczywiście chory na autyzm). Film został wyróżniony w pełni zasłużonym Kryształowym Niedźwiedziem.

Uważam, ten że obraz swoim ciepłem i pozytywnością potrafi rozkochać w sobie nawet te najchłodniejsze serca. „Czarny Balonik” jest to zdecydowanie jeden z moich ulubionych filmów, jest dziełem tak bardzo oddziaływującym emocjonalnie, iż swoim zakończeniem niemal doprowadził mnie do łez. Myślę, że jest to film obowiązkowy dla każdego kinomana... i nie tylko. Więc nie pozostaje mi nic więcej jak życzyć miłego seansu.

- Artur Lisiński

Co nas kręci, co nas podnieca

Po tym zachęcającym tytule można by się spodziewać, że reżyser dokona wnikliwej analizy psychologicznej ludzkich popędów i potrzeb. Jednakże w filmie Woody'ego Allena nic takiego nie ma miejsca – oglądamy lekką, zabarwioną odrobinę makabrycznym humorem komedię, która mocno godzi w każdą ludzką niedoskonałość, krytykuje każdą niedołężność i słabość. Allen to mistrz ciętego języka, ale po trosze też obraźburca.

Jeśli ktoś idzie do kina, by ujrzeć film na miarę „Wszystko gra”, „Życie i cała reszta”, czy nawet niedawnego „Snu Kasandry”, może się czuć bardzo rozczarowanym. Nie chcę ujmować w tym momencie najnowszej produkcji Allena, po prostu zaznaczam, że on nas z zupełnie innym rodzajem kina i wydaje mi się, że nie każdy dotychczasowy fan reżysera będzie się potrafił odnaleźć w takiej materii.

Allen zawsze zaskakiwał ukazywaniem tematów kontrowersyjnych, budzących grozę na twarzach pań z osobliwymi nakryciami głowy. Nigdy nie można mu było jednak odmówić finezji scenariuszy i chwytającego za serce spokoju – wszystkie filmy, które oglądałam, mimo scen mocnych, przykrych, nasuwają-

cych bolesne asocjacje, gładko wpływały do duszy, że pozwolił sobie użyć tego pompatycznego wyrażenia. Kolejnym tematem, wokół którego Allen zawsze oscylował, była – inteligencja. Czasami stosował zbyt górnolotne dialogi jak dla przeciętnego widza, mimo to fascynował, zatrzymywał uwagę. Dlatego wolę tego geniusza w wydaniu smutnym, momentami przygnębiającym (nie, żeby to mu się teraz nie udało, co mistrz, to mistrz), bo jego trafne spostrzeżenia, głębokie refleksje podane w tak estetycznej, artystycznej formie poruszają, pochłaniają, trzymają za gardło. Oczywiście, powyższy film też takowe zawiera, ale primo: forma uległa spektakularnej deformacji, secundo: nie w takiej ilości, tertio: film wcale nie jest spokojny, przy dużym poczuciu humoru umie mocno szarpnąć, pewne elementy, sytuacje trudno przełknąć i quarto wymaga od odbiorcy odpowiedniego humoru, nastawienia, nie da się po prostu wejść do sali kinowej, bo wyjdziemy albo źli, albo zmęczeni.

Pokrótkę akcję można opisać jednym zdaniem: stary, zgorzkniały (choć sam twierdzi, że to nieprawda) mężczyzna, niemalże noblista w dziedzinie fizyki kwantowej, opowiada koleje swojego życia, poczynając już od dość dojrzałego wieku, akcentując rolę mi-

łości. Odchodzi od bystrej, pięknej żony, by ożenić się z młodszą ponad pół wieku głuptką blondyneczką i, co niespodziewane, jest z nią szczęśliwy. Na początku filmu odnosimy się do dziewczyny sceptycznie, ciągle powtarza jakieś mądrości rodzinne, które winny wyginać razem z dinozaurami, jest natrętna i w zestawieniu z inteligentnym, przekonanym o wyższości swoich sądów Borisem przedstawia się nie tylko komicznie, ale też irytująco. Okazuje się jednak, że wraz z upływem czasu, dziewczyna wiele się nauczyła i wiele dała głównemu bohaterowi, a także, prawdę powiedziawszy, wiele zniósła. W międzyczasie jej matka, □ □ zagorzała katoliczka, staje się niezależną, nad wyraz liberalną kobietą o hedonistycznej postawie wobec świata (żyje z dwoma mężczyznami), natomiast ojciec Melody zdobywa się na przyznanie przed samym sobą do innej orientacji seksualnej.

Miałam szczęście, że oglądając ten film, byłam w dobrym i trochę zobojętniałym humorze, dzięki czemu nie przygniótł mnie ogrom cynizmu, zgryźliwości, wręcz wredności i braku taktu, którym to przepełniony jest film. Jednakże, gdybym się nie śmiała, musiałabym rozpaczliwie płakać. Nie chodzi tu o motyw miłości, pokazana jest



bowiem naturalnie, może mało stereotypowo, dziwacznie też, ale wszystko zdaje się toczyć, tak jak rzeczywiście powinno. Żadna scena, pomimo groteskowego smaczku, nie deprecjonuje uczucia, nie ujmuje mu. Płakałabym ze względu na głównego bohatera, który swoją megalomańską bezczelnością rani wszystkich wokół, krzywdzi bez wyjątku, przekonany, że ludzie są beznadziejni – jego stosunek do innych i niezachwiana wiara we własną „lepszość” raziły. Mimo że Allen wielokrotnie pokazał prawdę o świecie/ludziach, to zastanawiam się, czy zrobił to w dobrym stylu, czy na pewno w takim wydaniu trafi ona do ludzi. Czy nie sprawi, że zamiast próbować jakichś zmian w swoim zachowaniu, będą się tylko głupio śmiać?

Mimo kilku zastrzeżeń szczerze polecam obejrzenie filmu trochę skomercjalizowanego Allena, choćby po to, by być świadkiem kolejnego etapu w rozwoju artysty i mieć przyjemność oceniania tak wybitnego twórcy. Dla siebie z tego filmu wybrałam scenę, w której Boris stwierdza, że czasami warto zrobić coś bez sensu, że czasami w tym całym poszukiwaniu celu i sensu potrzebujemy, pragniemy tego, co jest go całkowicie pozbawione. I to jest dobre.

- Anna Pałac

„Lump wrócił”, czyli – *Dulscy z o.o.*

„Dulscy z o.o.” to sztuka Marty Ogrodzińskiej (grana w warszawskim Teatrze Polskim), oparta na znakomitym dramacie Gabrieli Zapolskiej pt. „Moralność pani Dulskiej”, opowiadająca o perypetiach pewnej bogatej i bardzo chaotycznej rodziny, w której każdy przeczy swoim – wydawało by się – uwarunkowanym normalnym życiem rodzinnym, postawom i rolom. Pieczę nad całym domem sprawuje (albo – stara się sprawować) pani Dulska, w której postać wcieliła się niesamowita, nieco ekscentryczna Grażyna Barszczewska. Pan Dulski (Bogdan Potocki) jest bohaterem biernym, sprawiającym wrażenie oderwanego od całej anarchizacyjnej rodziny, żyjącego własnym życiem, we własnym świecie. Syn państwa Dulskich, Zbyszko (Tomasz Borkowski)... – skrzywdzony przez rodziców, nieszczerliwy chłopak, który (przynajmniej początkowo) nie poddaje się rodzinnym normom, buntuje się wobec wszystkich i wszystkiego, prowadzi hulaszczę

życie, zmieniając partnerki jak rękawiczki (czasami, niestety, jak te nie do pary) oraz nie przejmując się (pozornie) niczym, co wokół niego się dzieje. Warto wspomnieć o dwóch kolejnych członkach lub – trafniej – członkiniach domu. Hesja i Mela (Katarzyna Glinka i Iza Kała), wariatka i dziwadło. Dziewczyna pewna siebie i zastraszona. Krętaczka i nadto spolegliwa. Dwie skrajności, nie dopełniające się – jak można by się było tego spodziewać – w żadnym stopniu.

Sytuacja w domu jest raczej nieciekawa – ojciec nie przejmując się nikim i niczym, matka stara się zapanować nad wszechogarniającym chaosem, syn jest – cytuję – lumpem, a córki są, hm, niezrównoważone psychicznie. No i jest też Hanka, która pełni funkcję pomocy domowej i obiektu westchnień Zbyszka Dulskiego. Hania jest dziewczyną skromną, na początku trochę zmieszana zalotami chłopaka. Z czasem jednak przekonuje się do niego i razem ukrywają swą miłosną histo-

rię przed oczami domowników, a przede wszystkim ślepiami Dulskiej. Cała sprawa wychodzi jednak na jaw (przede wszystkim fakt, że Hanka spodziewa się dziecka, którego ojcem jest Zbyszko), a dzieje się tak za sprawą wścibskiej Hesi, która, żeby tradycji stało się zadość, wsadza swój długi nos w nie swoje sprawy. Odkrywa w tej – jakby nie patrzeć – aferze korzyść dla samej siebie w postaci kolejnych pięciu dych za podane informacje. Kiedy Dulska dowiaduje się o wszystkim, nie chce w to uwierzyć: takie rzeczy?! Pod jej dachem?! Wkrótce jednak musi zaakceptować zaistniałą sytuację. Martwi się jedynie tym, co ludzie powiedzą, jak zareagują na jej tak sromotną porażkę. A jej syn? Zbyszko powoli odchodzi od zmysłów, nie wraca całymi nocami, zapijając smutki i problemy. Przestraszona tym całym chaosem Mela stara się ratować sytuację najlepiej, jak tylko potrafi, komplikując ją tym samym jeszcze bardziej, a Dulska popada w skrajną rozpacz. Pan Dulski rozważa całą sytuację w ciszy swoich czterech ścian. Pod nieobecność Zbyszka, Dulska oraz zwariowana we-wszystkim-muszę-mieć-swoją udział Juliasiewiczowa, ciotka zakupoholiczka (Izabela Kuna) przekonuje Zbyszka, że tak naprawdę nie kocha Hani, że ich związek byłby absurdalny. Zbyszko się poddaje. Hanka nie potrafi początkowo zareagować, jest bezwolna, postanawia jednak, że odejdzie, ale nie z pustymi rękami – otrzymuje od Dulskiej pieniądze na to, by móc samotnie wychowywać jej wnuka. Pani domu stawia warunek, że pieniądze da tylko w



zamian za milczenie – na jaw nie może wyjść przecież sytuacja, jaka zdarzyła się pod jej dachem. Dziewczyna godzi się na taki układ – odbiera pieniądze i odchodzi.

W „Dulskich z o.o.” ogromną rolę odgrywa muzyka i sceneria. Wraz ze zmianą dynamiki dramatu zmienia się strona wizualna przedstawienia. Sztuka jest podzielona na dwie części – w pierwszej z nich widz śledzi perypetie bohaterów, rozgrywające się w bogato umeblowanym salonie. Kolory są stonowane, utrzymane w bieli i szarości, zimne i nieprzyjazne. Wszystko to sprawia wrażenie sterylne, nieskazitelne i idealnego, dopracowanego. W drugiej części spektaklu wygląd tego samego salonu ulega znaczącej zmianie. Znikają ściany, okrycia na sofie i fotelach, wszelkie

rzeczy ze stołu. W pewnym momencie nawet drzwi, osadzone niestabilnie, unoszą się, by zawisnąć parę metrów nad ubranymi w biel bohaterami. Obie te odsłony symbolizują sytuację oraz proces przemiany Dulskich – na początku jest to rodzina pozornie doskonała, wzorcowa, niekonfliktowa i prowadząca się bez najmniejszego zarzutu, podczas gdy tak naprawdę, wewnątrz, jest – skołtuniona. Następnie, pod wpływem zaistniałych okoliczności, wszystko ulega zmianie – wychodzą na jaw tak świetnie dotąd tuszowane brudy, zostaje obnażona hipokryzja, bagno moralne, jakie Dulscy ukrywa od tyłu lat przed oczami innych ludzi (stąd te znikające ściany czy drzwi). Pokazuje to również wyobcowanie i jedynie powierzchowną otwartość bohaterów.

Muzyka z kolei buduje niesamowitą atmosferę, oddaje dramatyzm rozgrywających się na scenie zdarzeń. Aż ciarki przechodzą.

Spektakl to próba sportretowania współczesnej rodziny – Dulscy to spółka z ograniczoną odpowiedzialnością, w której duszno, gęsto od nawarstwiającej się obłudy. Torturą dla domowników jest nawet siedzenie przy wspólnym stole. Możliwe, że ta rodzina, przestrzeń mieszkania, jest czymś w rodzaju hermetycznej klatki, z której nie ma ucieczki. Okazuje się, że moralność to pojęcie relatywne, względne, coś, czego nie ma (!). Po prostu, ot tak. Wszystko zależy – także (a może – przede wszystkim?) etyka – od nas.

- Michał Kornatowski

Architekt Maciek

Wczoraj oficjalnie ogłoszona została informacja, o której w kulisach mówiło się już od dłuższego czasu. Nowym szkoleniowcem warszawskiej Legii

został Maciej Skorża, wcześniej dwukrotny mistrz Polski z Wisłą Kraków, a obecnie jeden z najlepszych polskich trenerów

Przyznam się Wam szczerze,

że sam nie wiem, co myśleć o tej nominacji. Owszem, Skorża to gość, który udowodnił w Krakowie, że **jest w stanie wprowadzić silną drużynę na**

piedestał, a w Legii zawodników będzie miał teraz naprawdę mocnych. Jest młody, ale jednocześnie bardzo doświadczony i utytułowany. Opanowany i zrównoważo-



ny, lecz także zdeterminowany i pewny siebie. Ze stale osłabianą Wisłą zdołał wywalczyć dwa tytuły najlepszej drużyny w kraju, a, bądźmy szczerzy, nie każdy byłby w stanie to zrobić, bo to w gruncie rzeczy wcale **nie taka łatwa sztuka**.

Przed Skorzą trudne zadanie - ma być on bowiem głównym architektem projektu nowej Legii. **Wielkiej Legii**. O warunki do pracy nie powinien się martwić, gdyż będzie miał je znakomite. Długi okres przygotowawczy, kadra wzmocniona doskonałymi zawodnikami, przychylnie nastawiony prezes, niebywale nowoczesny stadion. Ja w Skorzę wierzę i będzie miał on u mnie czystą

kartkę. Mam nadzieję, że **zapi-sze ją złotymi zgłoskami**, a "Wojskowi" znów zostaną najlepszą drużyną w naszym kraju.

Dziś Marek Józwiak ogłosił mediom, że w drugiej połowie lipca legioniści wylecą na niespełna dwutygodniowe zgrupowanie we Francji, podczas którego zmierzą się z takimi zespołami jak **FC Girondins de Bordeaux, Paris Saint-Germain FC, Stade Rennais FC i FC Lorient**. Przyznam szczerze, że klasa rywali robi wrażenie i takie mecze będą doskonałym przetarciem przed rozpoczęciem sezonu ligowego. Inną sprawą, bardziej osobistą, będzie fakt, że na obozie

przygotowawczym w Grodzisku Wielkopolskim sam walczył będę o wyjazd do Francji z ekipą z legia.com. Nie muszę chyba ukrywać, że to nie byłoby nawet **spełnienie marzeń**, bowiem nigdy o czymś takim nie śniłem. No, koniec tego rozmyślania - teraz najważniejsze jest dobre rozpoczęcie przygotowań przez legionistów, aby rozpocząć marsz po mistrzostwo Polski...

- *Krzysztof Grzelak,*
2 czerwca 2010

Liga mistrzów. Komentarz

Liga Mistrzów. Komentarz

Sezon 2009/2010 Ligi Mistrzów w piłce nożnej przeszedł do historii. Królem Europy została niespodziewanie drużyna Interu Mediolan, przez miejscowych, fanatycznych kibiców włoskich popularnie zwana Nerazzurri. Zdążyliśmy już przeanalizować mecz w Madrycie pomiędzy Interem a bawarską drużyną Bayernu Monachium. Droga tych drużyn do finału nie była usłana różami. Bayern, gra-

jąc w grupie A, wyszedł z drugiego miejsca, tuż za drużyną FC Girondins de Bordeaux a przed utytułowanym klubem z Turynu, a mianowicie Juventusem. Inter natomiast, grający w grupie F z FC Barceloną, był faworytem do wyjścia z drugiego miejsca, gdyż pierwsze miejsce według wielu fachowców było zarezerwowane dla Blaugrany. Tak też się stało, Inter wyszedł z drugiego miejsca. W 1/8 finału Nerazzurri odprawili z kwitkiem Chelsea prowadzoną przez Carlo Ancelot-

tego. Jose Mourinho mógł zatriumfować nad swoim dawnym klubem, prowadzonym przez niego jeszcze parę sezonów temu. Na Stamford Bridge Inter wygrał 1:0 po bramce Samuela Eto, w pierwszym meczu w Mediolanie Inter wygrał 2:1 i awansował do 1/4 finału. Bayern podczas losowania trafił na wyjątkowo mocną w tym sezonie Fiorentinę. Już pierwszy mecz w Monachium pokazał, że drużyna z Florencji tanio skóry nie sprzeda. Wygrana Bayernu 2:1 sprawiła, iż do awansu

Fiorentinie wystarczyło skromne zwycięstwo 1:0. W meczu rewanżowym role się odwróciły, Fiorentina atakowała i wygrała, lecz tylko 3:2. Dzięki większej ilości strzelonych bramek na wyjeździe awansował Bayern, głównie za sprawą fenomenalnego wówczas Arjena Robbena.

W ćwierćfinale Inter trafił na rosyjską drużynę CSKA Moskwa. Solidna drużyna grająca może niezbyt przyjemnie dla oka, ale niezwykle skutecznie. Można stwierdzić, że obie drużyny pokazują podobny futbol. Zwycięstwo w dwumeczu zostało wymęczone przez piłkarzy Mourinho, dwukrotne, skromne 1:0.

Szlagierem ćwierćfinałów był mecz Bayernu z Manchesterem United. Wielu kibiców piłki nożnej uznaje porzekadło, iż historia lubi się powtarzać. Bayern chciał odegrać się za porażkę w pamiętnym finale Ligi Mistrzów w sezonie 1998/1999 – objął prowadzenie po strzale Baslera w 6. minucie. Wynik ten utrzymywał się do 90. minuty, wtedy nad stadionem Camp Nou roze-

grał się horror, dwie bramki w dwie minuty Sheringama i Solskjaera dały puchar Manchesterowi. Dwumecz Bayernu z Manchesterem był odzwierciedleniem przebiegu spotkań z Fiorentiną. Wygrana u siebie 2:1 i porażka na wyjeździe 3:2 sprawiły że Bayern wyszedł zwycięsko z tej rywalizacji. Zwłaszcza w drugim meczu Bayern, przegrywając 3:0 na Old Trafford, zdołał strzelić 2 bramki, za sprawą Olicia i Robbena.



Los dla Bayernu był łaskawy, podopieczni Van Gaala trafili na Olympique Lyon, natomiast Inter na naszą ukochaną Barcelonę. Bayern rozprawił się z Lyonem w mgnieniu oka: 1:0 u siebie i 3:0 na wyjeździe po 3 bramkach Olicia dały awans do finału Bawarczykom. O meczach Interu z Barceloną powiemy, że się odbyły: 3:1 dla Interu i w rewanżu na Camp Nou 1:0 dla Blaugra-

ny, antyfutbol zwyciężył piłkarskie piękno.

W tym roku, oglądając finał, staraliśmy się być bezstronni. Nasza Barcelona odpadła we wcześniejszej fazie właśnie z Interem Mediolan, lecz ten fakt nie wpływał na nasze odczucia. Jako bezstronni oczekiwaliśmy również tego samego od ekspertów w studiu Polsatu. Niestety zawiedliśmy się. To, że probayernowski, a więc proniemiecki był Tomasz Hajto, da się jeszcze zrozumieć.

Wszak przez kilka lat grał on w barwach niemieckich klubów. Zaskoczenie wywołała w nas reakcja Wojciecha Kowalczyka, entuzjasty futbolu połu-

dniowoeuropejskiego, który próbował przekonywać, że zwycięstwo Interu nie było wcale zasłużone, doszukiwał się pomocy sędziego, wracał również do spotkań z Barceloną i błędów w sędziowaniu tamtego spotkania. Futbol to taki sport, w którym wygrywają najsukuczniejsi. Zdarzają się wszakże wyjątki, które to oprócz skuteczności czarują widzów pięknem i subtelno-

ścią w prowadzeniu piłki, rozgrywaniu kolejnych akcji. W tym sezonie tego zabrakło.

Można powiedzieć, że finał miał dwóch bohaterów, mimo że na boisku przebywało 22 piłkarzy. Są nimi bezsprzecznie zdobywca dwóch bramek Diego Milito – człowiek z cienia, odszukan i odkurzony przez sztab szkoleniowy Interu, do momentu finału znany jedynie z tego, że jest bratem Gabriela – piłkarza Barcelony. Drugim z bohaterów jest oczywiście Jose Mourinho – trener wyjątkowy, arogancki, często bezczelny w swoich wypowiedziach, ale za to skuteczny. Jak mało kto potrafi on zmienić klub piłkarski w maszynę do zdobywania kolejnych trofeów. Przychodził on do Interu po nie do końca udanej przygodzie z Chelsea Londyn. Mimo że wywalczył z tą drużyną wiele trofeów, nie udało mu się zdobyć tego najważniejszego w europejskiej piłce klubowej – nie potrafił zwyciężyć w Lidze Mistrzów. Co nie udało się w Londynie, ziściło się w Mediolanie i to za ledwie w drugim roku jego pracy.

Przebieg finału nie był zbyt emocjonujący. Oglądając mecz, miało się wrażenie, że to Bayern atakuje, rozgrywa piłkę, wymienia poda-

nia, by za chwilę zdobyć bramkę. Można powiedzieć, że Bayern grał, ale to Inter strzelał bramki. Nie pomogła większa liczba wymienionych podań, miażdżąca przewaga w posiadaniu piłki. Zwyciężyła skuteczna gra – czy nam się to podoba, czy nie. Mówiąc szczerze, spotkanie nas rozczarowało, nawet oprawa artystyczna, która była jedna z lepszych, jakie widziałem, nie wynagrodziła męki oglądania tego spotkania. Tak, tak – męki, żal było patrzeć na zabicie futbolu, jakie zafundował nam Mourinho. Żelazna konsekwencja w obronie, bronienie całą drużyną w nadziei na możliwość kontrataku to nie to, co chcieliśmy oglądać podczas sobotniego wieczoru. Cóż jednak począć, zwycięzców się nie sądzi, mistrzowski plan taktyczny Mourinho oraz konsekwencja piłkarzy Interu w jego realizacji, rzeczywiście zasługują na pochwałę.

Na koniec pozostaje nam tylko wyrazić nadzieję, że w przyszłym roku wygra piła w całej okazałości, że lepszy nie okaże się antyfutbol. W tym miejscu chcielibyśmy również życzyć sobie i innym kibicom Barcelony, by rzeczywistość po przyszłorocznym finale miała kolor bordowo-granatowy.

- Adam Kędzierski,
Maciej Stawicki

Wiersze

lato

błyska, grzmi, co to takiego?

nie mów, że nic się nie dzieje: Łukasz kładzie płytki w łazience, matka znowu kupiła za mało pomidorów, dzieci biegną przez pole pszenicy: wyglądają jak latawce, rozkładają ręce, wydeptują nowe szlaki. zbudowałam tu coś i nazwałam domem, by dobrze nam się żyło. w tym miejscu możesz mówić, że nic się nie dzieje: nikt nie słyszy, nikt nie chce słyszeć.

ledwie wychodzimy z pejzaży, które tu przyszły, gdy spaliśmy, a już widać nową drogę w złocie. dzieci odkryły swój śmiech, swój grzech, swoje przebaczenie i pokutę, Łukasz wyremontował strych, matka umarła.

- Paulina Chyl

Babka łuska włoskie przed domem

I choćbyś się odwrócił przez prawe ramię i splunął tak, że się cały świat zatrząsł w posadach i wreszcie wejdzie do tej cholernej zimnej wody przygotowanej w misce, żeby wypłukać co słabsze - choćbyś się odwrócił raz, drugi, trzeci, lwy wyzdychają i jabłka spadną - ale choćbyś - nikt ci nie uwierzy. Tylko babka jeszcze łuska orzechy przed domem, mimo że zupełnie ciemno, nawet serce oszarzało i rozrzedło w te głupie wieczorne mgły, co stają pod oknem i gapią się nie wiedzieć gdzie, tylko babka łuska - raz, dwa, trzy, pokrzywione palce znają niewiarygodnie proste drogi.

I będą orzechy na labirynt, na wzór, więc mógłbyś krzyczeć i tupać tak, że się cały świat obróci przeciwko tobie - jabłka pokaleczą i lwy pożrą - choćbyś krzyknął raz, drugi, tupnął - orzechy będą na labirynt.

- Paulina Chyl

O kropli krwi

Siedzisz przede mną w mej własnej rzeczywistości.

Nie ma w niej drzwi,
którymi mogłabyś wyjść.

Nie ma w niej drzwi,
którymi mógłby wejść ktoś inny.

Patrzysz, jak kolejna kropla krwi uderza o ziemię.

Słyszysz jej krzyk,
gdy rozbija się o głuchą ciszę mej świadomości.

Na krańcach swych warg,
czujesz jej gorzki posmak.

Nacinam skórę dalej, głębiej
tłumiąc ból przeszywający me ciało.

Nie chcę byś widziała
jak cierpię.

Za mój ostatni grzech,
za moje ostatnie niepowodzenie,
za moją ostatnią winę:
uwalniam kroplę krwi.

I gdy jestem już bliski końca,
zamykam oczy.

Czuję Twą obecność i wiem,
wiem, że nie pozwolisz jej upaść.

Ostatnia kropla krwi,
zamknięta w Twej dłoni.

B. A.

Zachęcamy Was do dzielenia się z nami Waszymi uwagami, spostrzeżeniami – możecie zrobić to albo tutaj, albo napisać na adres: henrynews@wp.pl. Zapraszamy również do przyłączenia się do Redakcji.



Mateusz Jaromin

Autorzy tego numeru
(wg kolejności alfabetycznej)

Skład/grafika:

K. Konstantinow

Redakcja:

M. Bajkowski

P. Chyl

A. Cieślińska

E. Dzitowska

M. Gerasik

Ł. Gronau

K. Grzelak

A. Kędzierski

A. Lisiński

E. Kleniewska

K. Konstantinow

M. Kornatowski

A. Magnuszewski

M. Markiewicz

A. Pałac

K. Pawłowski

K. Przybyszewski

M. Stawicki

R. Szymański

Opieka merytoryczna:

M. Domańska

B. Dzitowska